



BIULETYN INFORMACYJNY KWARTALNIK

Nr 4 (84) rok 21, Warszawa, październik – grudzień 2004

Redakcja

03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

Zespół redakcyjny: Tadeusz Wolak - redaktor naczelny, Władysław
Siemaszko, Henryk Jasiecki

Projekt okładki i odznaki dywizyjnej:
Jerzy Dąbrowski

ISSN 1234-0944

Wydawca:

Światowy Związek

Żołnierzy Armii Krajowej

Okręg Wołyński

27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK

03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

Druk i oprawa:

Zakład Poligrafii ul. Ogrodowa 51 00-873 Warszawa



Tradycja świątecznych życzeń z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, wpisała się w historię naszego kwartalnika, zatem wszystkim kolegom, żołnierzom, kombatantom 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, konspiracji i samoobrony wołyńskiej, sympatykom, Wołyńiakom, czytelnikom Biuletynu Informacyjnego, naszym korespondentom w szczególności: Zenonowi Wira, Feliksowi Budziszowi, Zbigniewowi Małyszczycykiem, Anotniemu Mariańskiemu i innym życzymy długich lat życia w dobrym zdrowiu, spokoju, szczęścia, pomyślności i pogody ducha.

W tej wiekopomnej, najpiękniejszej tradycji, o niepowtarzalnym nastroju, kiedy zasiądziemy z naszymi najbliższymi przy wigilijnym stole, pomyślny o tych którzy odmaszerowali na wieczną – wartę. Pomyślny o naszych żyjących kolegach, Rodakach gdziekolwiek się znajdują, gdziekolwiek ich losy rzuciły.

Z nimi połączmy się myślą, wspomnieniem.

Grudzień 2004 rok

R e d a k c j a



„O BURZY” WOŁYŃSKIEJ

Pod koniec 1943 r. Armia Czerwona przekroczyła linię Dniepru, wbijając klin w niemieckie ugrupowanie na ziemiach północnej Ukrainy.

Należało się liczyć z szybkim przeniesieniem działań wojennych na rdzenne ziemie polskie.

W tym czasie siły alianckie były już wprawdzie w Italii, ale nie zanosilo się jeszcze na właściwą inwazję Europy od zachodu w niedługim czasie. Dlatego też stało się rzeczą oczywistą, że Polskę zajęły wojska sowieckie, a nie alianckie i że stanie się to w trakcie uporczywych walk rosyjsko – niemieckich, gdyż Rzesza miała jeszcze dość sił, aby opóźniać postępy Rosjan.

W takim stanie rzeczy sytuacja Kraju stała się niezwykle trudna, gdyż nie było normalnych stosunków dyplomatycznych między rządem polskim i sowieckim oraz zaznaczała się wyraźnie wrogie, choć jeszcze niedokładnie sprecyzowane stanowisko Sowietów względem prawowitych władz Rzeczypospolitej.

Gwałtowny jednakże rozwój wypadków na froncie wschodnim nakazywał polskim sferom kierowniczym w Kraju i na obczyźnie zajęcie wyraźnego stanowiska oraz wydanie rozkazów, które by obowiązywały ruch podziemny z chwilą zalania Kraju przez cofające się wojska niemieckie i nadchodzącą Armią Czerwoną.

Wypływające z tego stanowiska rozkazy dla podziemnej administracji i Armii Krajowej miały zapewnić maksimum korzyści polskiej racji stanu w chwili samego przełomu oraz gwarantować je na przyszłość, w końcowej rozgrywce wojennej i późniejszej politycznej, w czasie przyszłej konferencji pokojowej.

Wybierając odpowiednią drogę dalszego postępowania, oparto się na następujących pewnikach:

- że nie wolno dopuścić do utraty naszych praw, wpływających z pierwszeństwa Polski w walce przeciwko Niemcom, przez stwarzanie pozorów, żeśmy tej walki zaniechali;

- że w ten sposób, kontynuując dalszą walkę przeciw Niemcom, przyspieszamy wprawdzie wkraczanie wojsk sowieckich na nasze ziemie, ale jest to mniejsze zło niżeli ewentualne wyklino-
wanie nas z obozu aliantów;
- że w ówczesnym układzie stosunków politycznych i rażącej dysproporcji własnych sił wojskowych wobec Niemców, jak również wobec groźnej niewiadomej sowieckiej, niezależnie od dawniej postawionego powstania powszechnego, należy także przygotować się do innej formy walki w postaci „wzmoczonej akcji dywersyjnej” na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

W wyniku całokształtu politycznych i wojskowych warunków na przełomie 1943/4 r. na rozkaz Rządu RP Komenda Główna AK utrzymując w mocy plany powstania powszechnego zarządziła działania o nieco innym charakterze. Stało się to na mocy instrukcji Rządu RP i Naczelnego Wodza dla Kraju z 27 października 1943 r. oraz rozkazu „wzmoczona akcja dywersyjna” otrzymała kryptonim „Burza”. Najbardziej istotne postanowienia tego rozkazu mówiły:

„Cel i zadania „Burzy” – Podkreślenie woli bicia Niemców i to nawet w wypadku niekorzystnego dla nas stosunku sił, czyli wśród okoliczności nie zezwalających na podjęcie powszechnego powstania oraz samoobrona przed wyniszczeniem nas przez wycofujących się Niemców.

Wykonanie „Burzy” – Działania będą polegały na zaciętym nękaniu cofających się straży tylnych niemieckich (ewentualnie oddziałów tylnych straży tylnej), na silnej dywersji na całej głębokości terenu, w szczególności na komunikację.

Uruchomienie „Burzy” – Rozkaz do „Burzy” zostanie wydany Komendantom Okręgów w momencie ogólnego odwrotu Niemców poprzez ziemie polskie przy pomocy specjalnego hasła radiowego ...

W wypadku nieotrzymania rozkazu do uruchomienia „Burzy” do momentu, w którym nastąpił odwrót Niemców, dowódcy terytorialni wszystkich szczebli rozpoczynają walkę z własnej inicjatywy. Zadania oddziałów, biorących udział w „Burzy”, kończą się z chwilą nadejścia Rosjan”.

Praktycznie więc „Burza” była lokalnym powstaniem w tych okręgach, z których Niemcy już odchodzili. Zapewniała ona przy

tym dalszy udział Polski w wojnie z Niemcami, ale oszczędzała nadmiernych strat własnych wszędzie tam, gdzie Niemcy jeszcze mocno siedzieli i mieli zbyt dużą przewagę.

Niezależnie jednak od walk „Burzy” rozgrywanych w okęgach, z których Niemcy już odchodzili, w innych częściach Kraju była stale prowadzona w dalszym ciągu normalna walka bieżąca.

Ponieważ front sowiecki najwcześniej osiągnął ziemie polskie na Wołyniu, przeto najpierw rozpoczęła „Burzę” 27 Dywizja Piechoty AK.

Aby jednak lotne oddziały partyzanckie polskie mogły wypełnić swą powinność ochrony ludności przed wymordowaniem z ręki Ukraińców oraz skutecznie szarpać Niemców, musiały mieć własną bazę operacyjną, wolną od jednostek nieprzyjacielskich.

Baza taka była tym bardziej niezbędna dla zadań „Burzy”, że na jej terenie miała się odbyć koncentracja sił własnych, stamtąd miało także pochodzić zaopatrzenie dla walczących wojsk.

Z chwilą zajęcia terenów na bazę, organizacja 27 dywizji szybko postępowała naprzód. W ciągłych walkach na przełomie zimy i wiosny 1944 r. dywizja zdobywała doświadczenie bojowe, broń, amunicję i sprzęt wojenny. W połowie kwietnia, 27 dywizja przeszła bardzo ciężką próbę sił w walce z Niemcami, w dalszych zaś miesiącach boje tej wielkiej jednostki należały do najcięższych i najkrwawszych bitew „Burzy”. W tych walkach Polacy kresowi wykazali całą swą wartość żołnierza i obywatela, zadając w ten sposób raz jeszcze kłam twierdzeniom sowieckim, że Wołyń nie powinien należeć do Rzeczypospolitej, gdyż nie ma tam Polaków.

Jednakże Chruszczow 15 kwietnia 1944 roku, na trzy dni przed śmiercią dowódcy 27 WDP AK ppłk „Oliwy”, donosił J. Stalinowi¹ o „kłamliwych” informacjach Polskiego Rządu Emigracyjnego o działaniach, na terenach zajmowanych przez Czerwoną Armię, polskiej partyzantki

Radio londyńskie, wcześniej, 11 kwietnia 1944 roku przekazało informacje specjalnego korespondenta Agencji Rejuter z Włoch, o oświadczeniu generała Sosnkowskiego, w którym generał mówił

¹ C.A.W. VIII.811.1.18.

„Armia Podziemna dobrze rozumie, że konieczna jest współpraca z wojskami radzieckimi na terytorium Polski w celu prowadzenia wspólnej walki przeciwko Niemcom” ... „W ostatnim czasie było wiele podobnych oświadczeń i artykułów w których mówiono o wspólnym działaniu polskich oddziałów partyzanckich z Armia Czerwoną” ... wymienia się tu liczebność tych oddziałów i wskazuje województwa – tarnopolskie, rówieńskie, wołyńskie i inne obszary Zachodniej Ukrainy.

Chruszczow do Stalina ... „dobrze znając sytuację w tych województwach chcę oświadczyć, że nigdy i nigdzie radzieckie oddziały partyzanckie i jednostki Armii Czerwonej na obszarze Zachodniej Ukrainy nie spotykały oddziałów polskich partyzantów, które działałyby na rozkaz rządu emigracyjnego”...

Tadeusz Wolak

* * *

CICHOCIEMNI O „BURZY” NA WOŁYNIU

Teksty opowiadań cichociemnych pochodzą z książki: „Drogi Cichociemnych” (Katolicki Ośrodek Wydawniczy, Londyn 1945 r.). W tekście nie występują nazwiska, a jedynie pseudonimy. Nam żołnierzom „Burzy” doskonale znane. Autorem jest „Ostoja”².

Wołyń objęła swym płomieniem otwarta wojna. Po pierwszych doświadczeniach ze współdziałania naszych oddziałów z partyzantką sowiecką zaczęły napływać meldunki z poszczególnych Inspektoratów, że oddziały polskie spotykają się stale z wrogią postawą bolszewików.

Zapadła decyzja koncentracji w bazie operacyjnej. Od listopada 1943 r. ciągną oddziały polskie w rejon zamknięty od zachodu Bugiem, od wschodu Stochodem, od północy linią kolejową Bug-Kowel-Kiwerce, a od południa linią Bug-Włodzimierz-Torezyn. Jed-

² Kpt. Tadeusz Klimowski, po śmierci dowódcy dywizji ppłk „Oliwy” (18.IV.44) był szefem sztabu dywizji, a dowódcą mjr „Żegota”.

nocześnie część sił pozostaje nadal w konspiracji dla wykonywania zadań bieżących.

W nocy z 15 na 16 stycznia 1944 r. w przeddzień wielkiej akcji pacyfikacyjnej w Kowlu, wychodzi stamtąd po krótkiej walce sztab Okręgu wraz z batalionem konspiracyjnym, udając się również w rejon koncentracji. Baza nasza jest dość rozległa, ale na jej terenach buszują jeszcze silne oddziały ukraińskiej UPA. Dla nawiązania łączności z bliższymi i dalszymi sąsiadami musimy przebić się przez mur nieprzyjacielski. Walki z Ukraińcami są naszym pierwszym aktualnym zadaniem. Prowadzimy je zaciekle, czyszcząc sobie drogę i pole dla przyszłych działań. Rozbite grupy ukraińskie spływają na południe lub umacniają się w murowanych miejscowościach wzdłuż szosy Łuck-Włodzimierz. Dozbrojone przez Niemców, tkwią w Oździutyczach i Kisielinie, ale na większe wypadły przeciw nam już sobie nie pozwalają.

„Rzeczpospolita Zasmycka”, w której wieś Zasmyki wraz z kompleksem paru innych osiedli stanowiła centrum naszej części bazy operacyjnej, gwałtownie rozbudowuje się i umacnia. Tu są punkty zaopatrzenia. Pracują młyny, rzeźnie, warsztaty siodlarskie, krawieckie i inne.

Niemcy próbują nas niepokoić z powietrza. Ale naloty te nie są zbyt szkodliwe, a z dokuczliwością ich już dawno zdołaliśmy się oswoić. Niejedno już przecież mamy za sobą.

Skoczowie tkwią po uszy w robocie organizacyjnej i bojowej. Ja byłem wówczas oficerem operacyjnym dywizji. „Gzyms”, po wspnianym rajdzie z lasów ostrogskich, dowodził teraz I batalionem 45 pp.

„Sokół” był dowódcą I baonu 50 pp. Obaj byli już sławni jako partyzanci.

„Trzask” dowodził III baonem 50 pp. W zestawieniu z tamtymi zagończykami był on dopiero adeptem sztuki wojennej „na leśny sposób”. Ale miał chęci, zdolności i zapał. Wiedzieliśmy, że szybko tamtym dwóm dorówna.

„Bratek” mozolił się nad tajnikami łączności dywizyjnej. Pierwszą gwiazdkę dostał skacząc do Polski przed paru miesiącami załedwie. Teraz pełnił z zapałem służbę szefa łączności dywizji.

„Siwy” znów miał powód do pewnego niezadowolenia. Dowodząc oddziałem samoobrony, był jak gdyby dowódcą terytorialnym.

- Robota bez smaku – wzdychał. I miał trochę racji. Inni wychodzili w pole i zwalczali niemieckie podchody, ciągnące od strony Kowla, a on musiał siedzieć w miejscu.

- Ach, „Siwy” – ty, który przeżyłeś! Czy pamiętasz ten dzień kiedy baon „Bomby” przyszedł do nas bez swego dowódcy?

Był to naprawdę piękny oddział. Ponad siedmuset ludzi dobrze ubranych i uzbrojonych. Tworzyli oni batalion piechoty i szwadron kawalerii. Mieli także pluton działek przeciwpancernych.

Jeszcze w listopadzie otrzymaliśmy od „Bomby” meldunek:

„Sowiecka partyzantka gen. Naumanowa, w sile około 12.600 ludzi, jest w moim rejonie. Jako wojsko polskie, podległe Komendzie Głównej AK w Warszawie, zgłosiłem gotowość współdziałania w walce”.

Generał Naumanow zaproponował „Bombie” odlot do Moskwy po naramienniki pułkownika. „Bomba” odmówił, choć wiedział, co może znaczyć odmowa. Był na konferencji u sowieckich „przyjaciół” w kilku ludzi zaledwie. Udało mu się pchnąć ostrzeżenie do swego oddziału. Sam jednak pozostał. Na zawsze ...³

Jego żołnierze – chłopci chcieli odbijać swego dowódcę. Była to jednak sprawa beznadziejna. Oddział jego dotarł do nas o połowę prawie uszczuplony.

Ledwie ochłonęliśmy trochę po stracie „Bomby”, gdy nadeszły oddziały Inspektoratu Łuckiego. Bez samego Inspektora i bez jego sztabu. Skoczkwie „Kra” i „Nasturcja”, którzy należeli do sztabu, powiększyli listę ofiar „przyjaźni polsko – radzieckiej”. O losie ich dotychczas nic pewnego nie wiemy. Czy leżą gdzie ich ciała, od lat nie pogrzebane, czy też żywi gniją dotychczas w łagrach rosyjskich?

Ja także miałem drobną od „przyjaciół” pamiątkę. Była to rosyjska kula w nodze, wysłana z zasadzki.

Każdy meldunek o rozstrzelaniu czy powieszeniu kogoś z tych, którzy po stronie „oswobodzonej” przez czerwonych ujawnili się

³ Przyp.red.. – („Bomba po kilkuletnim pobycie w sowieckich łagrach, powrócił do kraju, niedługo po tym zmarł). Tekst pisany na początku lat pięćdziesiątych. Wieści o „Bombie” nie było.

zgłaszając gotowość współdziałania, powiększał w nas konflikt psychiczny.

Czuliśmy swą siłę. Sześciotysięczna masa żołnierska, bez praw kombatanckich, których skąpili nam wielcy politycy, rzucała się w wir walki. Ta walka orężna była nam ucieczką, była schronieniem od stokroć cięższej walki wewnętrznej.

Zdawaliśmy egzamin z subordynacji i siły ducha, w zbiorowym napięciu, dochodzącym do granic najwyższych, wykazywaliśmy dobrą wolę. Ani jeden strzał nie padł z naszej strony w kierunku Rosjan. Obowiązywał nas ciągle, wielokrotnie powtarzany z Warszawy i Londynu, rozkaz współdziałania z wojskami sowieckimi. Więc – współdziałaliśmy. A oddziały nasze topniały. Wraz z nimi zapadały się w „wieczność” imiona naszych skoczków.

W lutym zagon dywizji kawalerii sowieckiej zajął Łuck. Oddział tej dywizji dotarł do Zasmyk.

Zgodnie z rozkazem dowódcy AK w wykonywaniu Burzy. Bratek natychmiast podał bolszewikom wszystkie elementy i szyfry na radiostację. Współpraca jednak nawiązała się dopiero wtedy, gdy Rosjanie uderzyli na Kowel z płytkim obejściem z północnego wschodu na Maciejów.

Szliśmy na lewym skrzydle uderzenia.

Batalion 24 pp nacierał na Turzysk. Chodziło o przerwanie komunikacji niemieckiej między Kowlem i Włodzimierzem. Wspierała nas artyleria sowiecka.

Radio Moskwa podało tegoż dnia: „Oddziały polskie, wspierane artylerią sowiecką, zdobyły Turzysk”.

Tymczasem operacja rosyjska na Kowel nie dała rezultatu, przeciwnatarcie niemieckie odrzuciło Rosjan. Niemcy mieli znowu przywróconą komunikację z Kowlem. Ale lewe skrzydło niemieckie armii zawisło w próżni, wyrwanej w linii frontu przez nas, Turzysk był nadal w naszych rękach.

W tej sytuacji, dowódca 27 dyw. piech. płk „Oliwa” otrzymuje zaproszenie do dowództwa sowieckiego, dla uzgodnienia działań. Odprawa odbywa się w rejonie Równego.

Dowódca korpusu sowieckiego jest zaskoczony naszą siłą i liczebnością. Następuje wymiana oficerów łącznikowych. Do naszego sztabu wchodzi sowiecki pułkownik z kilku młodymi oficerami.

Generał rosyjski mówi: „No, ładno. Jeżeli u was dywizja, pełna dywizja, tak w pójdziecie na nasze tyły, żeby się tam dozbroić w artylerię. Potem wy wejdziecie w skład Armii Czerwonej i będziecie bić z nami Germańca. Pójdziecie z nami aż za Bug”.

„Oliwa” w lot pojmuję, że jeśli da się zepchnąć na tyły – koniec z dywizją. Przed linią frontu dywizja jest jednostką pełnowartościową i nie łatwo ją rozbić lub rozbroić. Również sytuacja bojowa na linii Kowel trudna dla Rosjan, daje nam atut w rozmowach.

Odpowiada przeto: - „Uważam, że jest szansa na odcięcie Kowla od południa i zachodu. Nasza 27 dywizja jest w tym rejonie na tyłach niemieckich. To można i trzeba nawet wykorzystać. Uderzyć zaraz, póki się Niemcy nie wzmocnią. My zapoczątkujemy natarcie chwytając podstawy wyjściowe na linii Luboml, Jagodzin, Dorohusk. Dozbrojenie jest dla nas konieczne, ale ... dywizja powstała w walkach, w walkach się musi dozbroić. Zgłaszam się z dywizją do współdziałania. Taki mam rozkaz dowódcy AK, któremu podlegamy pod każdym względem. Na terenie walki obowiązkiem moim jest podporządkować się panu taktycznie”.

Umowa stoi. Po powrocie „Oliwy” dywizja rusza do bitwy o Kowel.

Okres, który nastąpił teraz, jest kartą historii pisanej krwią. Niósł on nasze daremne zwycięstwa i śmierć najbliższych przyjaciół.

Zgrupowanie „Gardy”, tj. trzy bataliony piechoty i szwadron kawalerii, otrzymało zadanie związania Niemców pod Włodzimierzem, aby nie dopuścić do uderzenia na tyły dywizji w czasie jej przegrupowywania. Ruszamy w rejon Olesk, Stawki, Władynopol, Zamłyń.

Przekraczamy rzekę Turię mostem wybudowanym przez naszych saperów. Był ostatni dzień marca pełen wiosennego słońca, gdy wąż wojska, w polskich w większości mundurach, wypłynął z lasów świnarzyńskich.

Widok to niecodzienny. Przekraczamy tory, idziemy na północny zachód. Nad nami samolot niemiecki wykreśla dymem na błękitnym

niebie długość kolumny. Niestety, idziemy w dzień, gdyż czas nagli i Rosjanie spieszą się z przegrupowaniem.

O kilkanaście kilometrów od osi dywizji słychać kanonadę. Eskadra samolotów niemieckich gra silnikami, zmieniając ziemie w piekło. Tam walczą oddziały „Gardy”.

Opieramy się o lesiste bagna i o Bug, ale podstawy wyjściowe do uderzenia na przyczółek Bugu leżą na suchym i bardzo słabo pokrytym terenie.

Wysunięte oddziały zajmują Czmykos, Sztuń i Zamłynie.

„Oliwa” zdaje sobie sprawę, że trzymanie tych punktów jest więcej niż trudne, wobec niemieckiej przewagi ilościowej i jakościowej. Niemniej decyduje się na takie pozycje, mając ku temu dwa powody:

Po pierwsze, liczy na logiczne następstwa umowy z Rosjanami, z której wynika, że 27 dywizja będzie wzmocniona jednostkami o pełnej wartości liniowej. Po drugie, spodziewa się, że śmiałe wysunięcie się do przodu będzie całkowitym zaskoczeniem dla Niemców, co pozwoli na pierwsze powodzenia, które ugruntują w żołnierzu przekonanie, że może się bić, jako żołnierz regularny, z regularną armią niemiecką.

Na prima aprilis los pozwolił nam śmiać się do woli i to w dodatku z Niemców, którzy czując się zupełnie bezpieczni wleźli nocą do Sztuń, puszczając przodem tabory. Zdobyliśmy 32 wozy, „odpowiednio” zaopatrzone w broń, amunicję, radio i żywność. Następnego dnia powtórzyła się podobna historia. Niemcy nie docenili naszych możliwości.

4 kwietnia rozpoczyna się niemieckie natarcie na Zamłynie, lecz nie mając dostatecznego wsparcia załamuje się w ogniu naszych kmów. Zdobywamy jeńców, których odsyłamy w prezencie Rosjanom. Cóż nam po nich?

5 kwietnia „Garda” spod Włodzimierza melduje: „Sytuacja ustalona, obie strony okopane na odległość 300-500 m”.

Do 8 kwietnia dywizja czuje się jak u siebie w domu. Dowództwo dywizji siedzi w Władynopolu. Radiostacja gra, telefony również. Bratek pisuje się doskonale.

Prowadzimy rozpoznanie. Małe utarczki dodają nam wiary we własne siły. Duch panuje wspaniały. Czujemy się jak na przedwojennych ćwiczeniach.

Z 8 na 9 uroczysta rezurekcja wielkanocna. Wszystkie jednostki, nawet na linii, otrzymują święcone, a w m.p. dowództwa odbywa się uroczysta Msza św.

Co prawda, niemal bez świateł, ale piękna pełnia księżyca wszystko dookoła pięknie srebrzy. W ciszy leśnej grają podniosłą melodię dzwonki ministrantów. W tę ciszę wciska się lekki, daleki pomruk, który każe zebrany podnieść schylone kornie głowy. Nasłuchujemy.

Pomruk rośnie, potężnieje, gra gangiem tak znanym naszym uszom. Ten sam ton towarzyszył nam w drodze do Polski. Ten sam ton oddalał się od nas, kiedyśmy zostawali samotni, zawieszeni na spadochronach między niebem a ziemią.

Rany Boga, Liberatore! – krzyczy Trzask i pierwszy wrywa ku placówce zrutowej. A za nim wszystko co żyje. Tylko ksiądz, biedaczysko, kończył Mszę dziękczynieniem, ale jakoś pośpiesznie i nerwowo. Widać brak mu było nieobecnych ministrantów.

Odebraliśmy pierwszy rzut, prawdopodobnie wykonany na własną rękę przez rodaków, bo jak się potem okazało – dla 27 dywizji zrzucono, ale w lasach zamoyskich. Świadkiem rzutu był, wraz z oddziałem NKWD pułkownik Iwanow, który przyjechał pewnie sprawdzić, czyśmy jeszcze „nie dali nogi”.

9 kwietnia rano rozpoczęła się właściwa bitwa.

Niemcy mieli dziewięć dni na zorientowanie się w groźbie naszego manewru. Z Lubartowa ruszyły oddziały 214 niemieckiej dywizji piechoty wspierane przez dywizję pancerną „Wiking”.

Jednocześnie „Garda” melduje o natarciu z rejonu Włodzimierza. Bijemy się zatem na dwu kierunkach: Luboml i Włodzimierz. Przestrzeń 30 kilometrów.

30 nurkowców niemieckich zatruwa nam życie. Do wieczora jednak wszystkie pozycje utrzymaliśmy. Widoczne staje się natomiast, że dzień następny może doprowadzić do połączenia się obu niemieckich taranów. Wtedy zostaniemy odcięci od przepraw na rzece Turii i od czerwonych.

„Oliwa” wyznacza godzinę 18 na oderwanie się od nieprzyjaciela i cofnięcie się na drugą linię obrony.

Mamy zamiar pod osłoną nocy wycofać się poza tę rzekę. Ale diabeł nie śpi. O 17 przybywa szwadron sowieckiej kawalerii. Dziwią się nam mocno, że się jeszcze trzymamy. Ale skoro tak, to „dzierżysia druzja”, idzie wam na pomoc cała dywizja sowieckiej kawalerii.

Wobec tego „Oliwa” cofa swój poprzedni rozkaz oderwania się od Niemców, nie grozi nam już ściśnięcie na małej przestrzeni i przyparcie do Bugu, którego – według rozkazu K.G. – nie wolno nam było przekraczać. Oddziały obejmują z powrotem stanowiska. Walka rozpoczyna się na nowo.

Noc przerywa bitwę. I wtedy pojawiają się dwa pułki kawalerii gwardii sowieckiej. 56 pułk idzie do zgrupowania „Gardy”, skąd zresztą pryska przy pierwszej sposobności, a 54 wraz z dowódcą wchodzi na miejsce postoju naszej dywizji i bije się razem z nami do samego końca. Nie wyprzedzajmy zresztą wypadków.

10 kwietnia w ciężkiej walce przeciw niemieckiej broni pancernej tracimy Czmykos, Sztuń i Staweczki. Zepchnięto nas z wysuniętych stanowisk, tak ważnych w naszym pojęciu jako punkt wyjścia operacji sowieckiej na Kowel.

„Garda” melduje: „Zamierzam uderzyć na Włodzimierz, który chcę zdobyć. Jeżeli tam trzymałem się tak długo i w tak niedogodnym terenie, to przy pomocy sowieciarzy mogę uderzać. Uprzedzę tym 131 dywizję niemiecką, która idzie na Włodzimierz zza Bugu”.

„Oliwa” akceptuje. Nasi sowieccy kawalerzyści rwą się od świtu do przeciwwuderzenia celem odebrania Staweczek. Pomysł nierealny w dzień, ale w nocy możliwy do wykonania. Cóż, kiedy przygotowania sowieckie trwają tak długo, że nowy dzień nastaje i inicjatywa przechodzi z miejsca w ręce niemieckie.

Mimo to przeciwnacieramy. We frontalnym uderzeniu bierze udział pułk kawalerii sowieckiej bez jednego szwadronu i nasz I batalion 50 pp, którym dowodzi „Sokół”, II batalion 50 pp, pod dowództwem „Jastrzębia”, zachodzi od tyłu Staweczek, z zadaniem uchwycenia traktu.

Natarcie odciążające wykonuje „Gzys” ze swoim I batalionem 45 pp, plus szwadron sowiecki, mając za przedmiot uderzenia Czymkos. Pogłębia on w ten sposób uderzenie „Jastrzębia”.

IV baon 50 pp pod dowództwem „Korda”, wiąże Niemców na linii Zamłynie – Jagodzin.

I kiedy „Jastrząb” chwytą trakt na tyłach niemieckich, czoło natarcia jest już na odległości szturmowej, „Gzys” w walce, a Niemcy rozpoczynają odwrót ze Staweczek kryjąc przedpole huraganowym ogniem artylerii i granatników. Następuje kryzys bitwy, niestety, na naszą niekorzyść. Stłamszone straszliwym ogniem załamuje się natarcie czołowe. Czołgi spędzają „Gzysa” w bagna. Idzie niemieckie pancerne przeciwuderzenie. Batalion „Jastrzębia” jest w sytuacji prawie dramatycznej.

Na otwartym bagnie, zepchnięty z traktu, porażony ogniem czołgów z odległości nie większej, niż 500 m, „Jastrząb” broni się rozpaczliwie. Powstaje poważna obawa, że Niemcy uderzą na Władynopol, tzn. na miejsce postoju naszego dowództwa, odległego w tym momencie o niecały kilometr od linii frontu.

Jednocześnie „Garda” melduje „moje natarcie skończone, 56 pułk kawalerii gwardii uciekł za Turię i odsłonił mi skrzydło. Do akcji wchodzi pierwsze elementy 131 dywizji niemieckiej”.

„Oliwa” ocenia, że walcząc w oparciu o lasy i bagna jest jeszcze możliwość utrzymania przyczółków na Turii, łącznie z naszym mostem.

12 kwietnia walczymy na wszystkich kierunkach. „Trzask” jest ciężko ranny. Baon jego obejmuje „Siwy”. Niemcy dążą do uchwycenia mostu na Turii. Do walki wchodzi nowe niemieckie jednostki. Mamy już przeciwko sobie od północy 1 brygadę górską, 214 i 216 dywizję piechoty oraz 5 dywizję pancerną (Wiking), a od południa 131 dywizję piechoty i garnizon Włodzimierza, liczący 3 bataliony piechoty i oddział pancerny.

Nasi zaś sprzymierzeńcy sowieccy czekają.

Wysyłamy alarmujące meldunki do dowództwa rosyjskiego korpusu. W odpowiedzi otrzymujemy rozkaz: „Trzymać się do ostatniego ładunku – nastuplenie idiot”.

Niestety, wkrótce nadejdzie chwila, gdy nasz żołnierz rzeczywiście sięgnie już po ostatni ładunek, a zdobyć ich na Niemcach już nie jesteśmy w stanie. Wysyłamy więc wozy po amunicję do czerwonych za Turię. Wozy nie wracają. Ma to swoją wymowę.

Do 17 kwietnia trwa stałe ścieśnianie naszych oddziałów. Niemcy nacierają od północy i południa, a od zachodu poprzez Bug.

Walczymy osamotnieni.

„Garda” trzyma południowy kierunek na Pisarzowej Woli, przy ostatniej grobli prowadzącej za Turię. „Sokół” i „Gzyms” walczą na kierunku północnym, ale tkwią już w środku lasów.

Mosur, dawny ośrodek służb naszego zgrupowania, jest zajęty przez niemiecką broń pancerną. Nacierających od Mosura Niemców wstrzymuje IV baon 50 pp.

18 kwietnia ginie „Oliwa”. Dowodzenie obejmuje mjr „Żegota”. Ja obejmuję funkcje szefa sztabu dywizji.

Tego dnia o godzinie 18 zamyka się niemiecki pierścień dookoła nas, jesteśmy w kotle. Sowiecki „aliant” zostawił nas samych.

Nie dajemy jeszcze za wygraną. Nie złamały nas nie opatrzone rany, głód ani wszy. Nadzieja na wywalczenie wolności, która prowadziła nas od pierwszej chwili, kazała nam teraz walczyć o życie, byśmy mogli dalej walczyć o wolność. Postanawiamy wywinąć się z kotła. Niszczymy tabory i ciężki sprzęt. Puszczamy luzem konie. Wyruszamy – w kierunku najmniej dla Niemców spodziewanym, bo nie na rzekę Turię w stronę bolszewików, ale na północ, na Jagodzin, poprzez główne szlaki komunikacyjne niemieckie,

Za nami, w kotle, pozostało jeszcze około tysiąca ludzi. Pozostał „Siwy”, „Jastrząb” i „Trzask”. Sytuację opanował „Jastrząb”, tańcząc w tym młyńcu z górą miesiąc. Przebił się potem za Bug i dołączył do dywizji pod Lubartowem. Oparciem naszym były tymczasem bagna Prypeci. Nadeszły dwa miesiące ciągłych walk na zapleczu niemiecko – sowieckiego frontu. Te dwa miesiące to specjalna karta w dziejach dywizji.

Wreszcie otrzymaliśmy rozkaz z KG zezwalający nam na przekroczenie Bugu.

Dywizja liczyła wtedy mniej niż połowę swych pierwszych stanów. Z tego zaś jeszcze duża część była rannych lub chorych na tyfus.

Ruszyliśmy trzema równoległymi kolumnami odległymi od siebie o 10-15 km - gromady wynędzniałych, bosych, głodnych obdartusów.

Stanęliśmy nad Wieprzem. Ostrów Lubelski stał się naszą stolicą. Okoliczne wsie – kwaterami batalionów.

Wtedy odszedłem do Warszawy na operację gnijącej nogi. Była to moja pamiątka po „braciach Słowianach”. Dzięki temu los mi zaoszczędził dalszego udziału w tym, co się stało z dywizją.

Wróciła ona do pełnego stanu. W walkach dozbroiła się po zęby. W letniej ofensywie sowieckiej 27 dywizja piechoty AK znowu torowała drogę oddziałom sowieckim.

Zajęła Kock i Lubartów. Szykowała się właśnie do marszu na objętą powstaniem Warszawę⁴, kiedy dognały ją pancerne oddziały sowieckie.

I wówczas ...

Wówczas zabrano jej broń. Bezbronnych spędzono do obozu koncentracyjnego w Majdanku. Zaledwie drobnej części żołnierzy udało się zbiec. Resztę wywieziono w głąb Rosji.

„Gzyms”, „Bratek”, „Sokół” – czy zdołają i to jeszcze przetrzymać i przeżyć?

Tak, „Siwy” stary przyjacielu niestety tylko my dwaj pogwarzyć możemy o „tamtych czasach”, a przecież było nas jedenastu.

* * *

⁴ Przy. red. ... na powstanie do Warszawy (rozbrojenie 27 Wołyńskiej 26 lipca 1944 r.).

W 60 ROCZNICĘ „BURZY” WYSTAWA W KRAKOWIE

Po trzydniowych uroczystościach poświęconych pamięci uczestników Powstania Warszawskiego, które odbyły się w Warszawie w dniach 30/31 lipca i 1 sierpnia, w dniu 2 sierpnia w Krakowie nastąpiło otwarcie wystawy pt. „Burza Armia Krajowa 1944”. Inicjatorem tej wystawy był Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie, przy współudziale Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, Muzeum Armii Krajowej i Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. O godzinie 17.00 prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych Zbigniew Kazimierz Witek powitał zgromadzonych kombatanatów żołnierzy AK, przedstawicieli władz wojewódzkich, miejskich, samorządowych oraz licznie zgromadzonych mieszkańców Krakowa, w tym młodzież i harcerzy.

Następnie głos zabrał Janusz Krupski v-ce prezes Instytutu Pamięci Narodowej Zarządu Głównego w Warszawie. W kolejności Janusz Kurtyka dyrektor IPN oddziału w Krakowie, którzy przedstawili plany wybuchu powstania ogólnego na terenie całego kraju, który musiał ulec zmianie, gdy zamiast zachodnich sojuszników na ziemię polskie jako pierwsza wkroczyła Armia Czerwona. Nowy plan działania otrzymał kryptonim „Burza”. Następnie omówili szereg uwarunkowań politycznych, które zmusiły do wielu zmian organizacyjnych. Pierwotny roboczy tytuł tej wystawy brzmiał „Burza przyszła ze wschodu”, lecz w trakcie pracy został zmieniony na bardziej ogólny „Burza” Armia Krajowa 1944. Niemniej jak wspomniał komisarz wystawy – Teodor Gąsiorowski pracownik IPN w Krakowie, Okręgi AK „bez ziemi” nie mogąc eksponować dokonań w swych siedzibach okręgów, znalazły tu w Krakowie możliwość pokazania swej działalności w bardzo trudnych warunkach dwóch, a nie nierzadko trzech wrogów. Powiedział też zgodnie z przewidywaniami jako pierwsi „wyzwoliciele” na ziemiach Rzeczypospolitej pojawili się sojusznicy naszych sojuszników, 4 stycznia 1944 r. Armia Czerwona przekroczyła granice sprzed 1939 r. W tej sytuacji ko-

mendant Okręgu Wołyń AK płk Kazimierz Bąbiński ps „Luboń” wydał 15 stycznia 1944 r. rozkaz rozpoczęcia „Burzy” na Wołyniu.

W kilku wielkich salach wystawowych na przeszło 100 planszach o wymiarach 70x100 organizatorzy pokazali setki zdjęć z działań zbrojnych poszczególnych okręgów, fotografie dowódców, oficerów, zdjęcia grupowe żołnierzy. Udostępniono też dokumenty w postaci rozkazów, legitymacji i innych pamiątek z tego okresu.

Mocno wyeksponowana była działalność Armii Krajowej okręgów wschodnich: Wołyńskiego, Poleskiego, Nowogródzkiego, Wileńskiego i obszaru Lwowskiego, które umieszczono na 60 planszach. Pozostałe około 40 plansz pokazywały zdjęcia Okręgu Lublin. Zgrupowania „San”, Podokręgu Rzeszów, Warszawy, Korpusu Kieleckiego, Rzeczypospolitej Kazimiersko – Proszowickiej, zgrupowania „Kamiennik”, Batalionu Part. „Skała”, Krakowskiego i Pułku Strzelców Podchalańskich.

Kierunek zwiedzania prowadził przez Okręg Wołyń pod znamienym tytułem „Pierwszy był Wołyń”. Tu na widocznym miejscu znajdował się herb Wołynia i krótki zarys organizacyjny dużej jednostki bojowej jaką była 27 WDP AK.

Zdjęcia i dokumenty dostarczone przez Środowisko Żołnierzy 27 WDP AK w Krakowie, pochodziły głównie z książek autorów żołnierzy naszej dywizji, z Okręgu Wołyń z Warszawy oraz ze zbiorów własnych.

Pierwszego dnia tuż po otwarciu przez salę przewinęło się paręset osób, niektórych bardzo zainteresowanych działalnością poszczególnych jednostek partyzanckich AK.

W czasie uroczystości przygrywała kapela góralska składająca się z kilkunastu młodych artystów ze Skomielnej Czarnej.

Wystawę zlokalizowano w Pałacu Sztuk – Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, plac Szczepański 4, i czynna była do 2 października br.

Była to bardzo wartościowa wystawa obrazująca wielki zryw bojowy w duchu patriotycznym II Rzeczypospolitej.

* * *

Z KART HISTORII WOŁYNIA ŚMIERĆ PRZYSZŁA WIOSNĄ

RYMACZE, to bardzo duża i niegdyś zasobna wieś na Wołyniu, położona nadzwyczaj malowniczo, na tle wylaniającego się z nad pagórków lasu, opodal sporego jeziora Oko, połączonego strumieniem leniwie płynącym ku bagnistym rozlewiskom Bugu. Jeszcze w 1944r. gwaro tu było od polskiej mowy, a z tutejszego kościoła katolickiego w każdą niedzielę niosły się przez zielone łąki i żyzne pola czarnoziemowi dźwięki spiżowego dzwonu. Była to wieś wybitnie polska, jak wiele innych w okolicy, ale nietuzinkowa, bo z murowaną świątynią, siedmioklasową Szkołą Powszechną im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, katolickim domem ludowym, siedzibą nadleśnictwa, a także posterunkiem Policji Państwowej. I do stacji kolejowej jest stąd blisko, a przez most drogowy i kolejowy na rzece Bug można było dojechać do pobliskiego Chełma, lub – w przeciwnym kierunku – do sąsiedniego Kowla.

Wybuch II wojny światowej otworzył nową kartę w dziejach tej niezwyklej wsi i jej mieszkańców. Już w ostatnich miesiącach 1939 r. i na początku 1940 tworzone samorzutnie na tych terenach zręby polskiej konspiracji. Na skutek śmiertelnego zagrożenia ze strony wspomaganych przez Niemców band UPA, w 1943 r. w rejonie wiosek Jagodzin – Rymacze powstał silny oddział Armii Krajowej „Korda”, a jego organizatorami byli: por. Kazimierz Filipowicz, ps. „Kord” i ppor. Ryszard Markiewicz, ps. „Mohort”, oficerowie rezerwy, nauczyciele miejscowych szkół. Następnie Rymacze stały się bazą dla 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, a świątynia parafialna konspiracyjnym kościołem garnizonowym.

W tej wsi, od niepamiętnych czasów wiodły żywot kolejne pokolenia Bednarzów, polskiego z krwi i kości rodu, który skutecznie opierał się brutalnie realizowanej polityce rasyfikacyjnej carskiego zaborcy. A ostoją jego tożsamości były zawsze szczera i głęboka wiara katolicka oraz z pokolenia na pokolenie przekazywane tradycje patriotyczne. O rodzie tym można by napisać wielorozdziałową sagę

o niezwykle bogactwie zdarzeń ściśle połączonych z mozolną pracą na roli, walką o byt narodowy i wiarę ojców oraz godne przetrwanie nawet najcięższych zrządeń jakże często okrutnego losu. Wiele stron tej sagi należałoby poświęcić bezinteresownemu oddaniu Bednarzów sprawie Polski, jej wolności. Członkowie tej rodziny brali udział w walkach powstańczych o odzyskanie Niepodległości oraz w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. Również w czasie ostatniej wojny i okupacji dwóch wrogów dali dowód bezgranicznego poświęcenia, zapisując piękną, przepelnioną tragicznymi wątkami kartę heroicznej służby Ojczyźnie. Godzi się powiedzieć, że takich szlacheńskich rodów w Rymaczach było naprawdę dużo.

Ostatnimi przedstawicielami rodu Bednarzów, w skazanych na wygnanie Rymaczach, byli małżonkowie Andrzej i Anna, którym urodziło się czworo dzieci – dwie córki: Maria i Stanisława oraz dwóch synów, Jan, urodzony w 1914 r. i młodszy o 4 lata Józef. Obaj ukończyli średnie szkoły techniczne w Brześciu i Kowlu. Jan w 1935 r. został powołany do odbycia czynnej służby wojskowej, w czasie której ukończył szkołę podchorążych artylerii w 27 pal we Włodzimierzu Wołyńskim, a następnie otrzymał przydział do drugiego pułku artylerii ciężkiej w Chełmie. Na rok przed inwazją niemiecką na Polskę awansował do stopnia podporucznika. Będąc rezerwistą, krótko pracował na kolei w Lublinie. Następnie, jako jeden ze zdolniejszych absolwentów szkoły geodezyjno-drogowej, otrzymał propozycję wyjazdu do Augustowa na Mazurach do pracy przy budowie fortyfikacji na granicy z Prusami Wschodnimi. Latem 1939 r. dostał kartę mobilizacyjną, a następnie wyruszył na front ze swoim chełmskim 2 pac. Brał udział w walkach z Niemcami w wielu punktach oporu, rozlokowanych na znacznej połaci kraju. Po ciężkich zmaganiach i znacznych stratach własnych, zdziesiątkowane oddziały wycofały się na ziemię wołyńską. Część zreorganizowanego zgrupowania dotarła do Kowla, gdzie została zaskoczona paraliżującą informacją o przekroczeniu wschodniej granicy Polski przez Armię Czerwona o świcie 17 września 1939 r. Wkrótce też wojska sowieckie opanowały Kowel. Ppor. Jan Bednarz, unikając niewoli, zatrzymał się w kolejarskiej kwaterze ojca. Wówczas to na murach miasta pojawiły się obwieszczenia kategorycznie zobowiązujące wszystkich

polskich oficerów do zgłaszania się w sowieckiej wojskowej komendanturze celem dopełnienia obowiązku rejestracji. Młody podporucznik, nie przeczuwając nic złego, dobrowolnie zgłosił się pod wskazany adres, gdzie bez słowa wyjaśnienia został aresztowany wraz z liczną grupą polskich oficerów przez funkcjonariuszy NKWD. Pojmanych załadowano na stacji kowelskiej do towarowych wagonów i przewieziono do Zdobunowa, gdzie pociąg zatrzymał się na dłuższą chwilę. Jeńcom pozwolono napić się wody. Ppor. Bednarz, wykorzystując chwilę nieuwagi, eskortujących NKWD-zistów, oddalił się od transportu i przebiegł niepostrzeżenie na inny, zatłoczony wagonami peron, gdzie przypadkowo spotkał zaprzyjaźnionego z ojcem kierownika pociągu – Jana Weremkę. Ten zdziwiony jego widokiem, dość zdecydowanie poradził znajomemu oficerowi, by podjął natychmiastową ucieczkę, najlepiej w rodzinne strony, do Kowla. Bednarz najwidoczniej zrozumiał tragizm swojego położenia i przystał na propozycję, oświadczając jedynie, że tylko na chwilę wróci do wagonów, by zabrać ze sobą najbliższych kolegów z nieistniejącego już pułku. Weremko zobowiązał się zorganizować uciekinierom bezpieczny przejazd najbliższym pociągiem zdążającym do Kowla. Jednak ani jeńiec ani też jego koledzy nie pojawili się w umówionym miejscu. Prawdopodobnie ich zamiar ucieczki został odkryty i udaremniony.

Dopiero w listopadzie 1939 r. Bednarzowie otrzymali tak długo oczekiwaną wiadomość od syna. List nadany w Kozielsku zaopatrzony był w dwujęzyczny adres. Pisał w nim, że jest mu „dobrze”, a chwile wolnego czasu spędza na grze w karty z kolegami. Wszyscy mają sprawdzone dłonie, gdyż w ten sposób wprost z opętańczą gorliwością poszukuje się wśród oficerów „burżujów”. Prosił też rodziców o paczki żywnościowe i ciepłą bieliznę. Ostatni list z Kozielska przyszedł na początku marca 1940 r. Był bardzo tajemniczy i zawierał w sobie jakby podwójną treść. W jego drobno zapisanych wierszach na lichym papierze tliła się słaba iskierka nadziei powrotu do domu. Pisał, że modli się wraz z innymi o spotkanie z najbliższymi. Straszne mrozy, głód, choroby i niepewność jutra towarzyszyły jeńcom przez wszystkie dni i długie zimowe noce. Zbliżał się kres ich przepełnionego cierpieniem życia.

Latem 1940 r. Bednarzowie nawiązali kontakt z pochodzącym z okolic Kozielska, młodym oficerem Armii Czerwonej, nadzorującym kopanie transzei i okopów w Rymaczach, które w wyniku wojny na mocy zawartego porozumienia między zwycięzcami znalazły się na granicy z terenami zaanektowanymi przez Niemców. Obiecał on, że w czasie jesienno-wyjazdu na urlop do rodziny postara się dowiedzieć, co dzieje się z jeńcami umieszczonymi w tamtejszym obozie i dlaczego nie dają o sobie żadnego znaku życia. Dotrzymał słowa i po powrocie oświadczył, że polskich oficerów już tam nie ma i nikt nie wie co się z nimi stało. Tak zginął wszelki ślad również po młodym podporuczniku rezerwy Janie Bednarzu. Dopiero wiosną 1943 r. gazety niemieckie wydawane w języku polskim, rozpoczęły druk listy odkrytych w masowych grobach ofiar strasznego mordu w lasu katyńskim, dokonanego przez funkcjonariuszy stalinowskiego NKWD. Wśród kilku tysięcy polskich oficerów pozbawionych życia strzałami w tył głowy, znaleziono artylerzystę z 2 pac w Chełmie. Ręce miał związane drutem, by nie mieć szansy obrony, i roztrzaskane czoło, miejsce wylotu pistoletowego pocisku. Znaleziono przy nim pamiętkową papierosnicę i dokumenty wojskowe z podchorążówki we Włodzimierzu Wołyńskim.

Ta tragiczna wiadomość zbiegła się z innym, nie mniej bolesnym i wstrząsającym wydarzeniem. W Anglii zginął wraz z całą załogą, walcząc w obronie wysp brytyjskich, drugi syn Bednarzów – Józef, pilot jednego z polskich dywizjonów. Stało się to 1 lutego 1943 r., ale wiadomość o tym dotarła do rodziców dopiero po zakończeniu wojny. Józef, od najmłodszych lat zakochany w samolotach i pochłonięty ideą latania, odbył szereg przeszkoleń w tej dziedzinie, by pod koniec września 1939 r. wslawić się brawurową ucieczką samolotem z kraju. Następnie dzielnie walczył na obcej ziemi, rozślawiając imię polskiego żołnierza.

Starzy Bednarzowie już dawno nie żyją. Spoczęli na chełmskim cmentarzu, z dala od mogił swoich przodków z Rymacz. Pozostali na zawsze w mieście, które z czasem uznali za swoje. Przed prawie 60 laty przyjęto ich tu nadzwyczaj gościnnie, gdy w letnie popołudnie, niepewni jutra i zagubieni, wysiedli z zatłoczonego pociągu przed zburzonym przez Niemców dworcem PKP z kilkoma węzłkami re-

patrianckiego „dobytku”. Z życzliwości radzono im wówczas jechać dalej na Zachód, na ziemię po wiekach odzyskaną, bo tu robiło się już tłoczno. Nie usłuchali, gdyż chcieli być jak najbliżej kolebki rodu z nieodpartą nadzieją, która nie opuszczała ich do śmierci, że kiedyś wrócą, chociażby na kilka dni, by usłyszeć śpiewny głos kościelnego dzwonu i ten majowy rechot żab niosący się nisko nad jeziorem aż do ciemnej ściany starego lasu. I jeszcze uklękną pod dębowym krzyżem, co stoi na skraju wsi, ucałują pachnącą chlebem ziemię i w ogromnej żałości powiedzą jej o swojej niegasnącej nostalgii, cierpieniu i miłości.

Rymaczanie zostali rozrzućeni po całym kraju, i nie tylko. Można ich spotkać w Anglii, Niemczech, Kanadzie, a nawet „na końcu świata” - w dalekiej Australii. Do każdej rodziny wdarł się kiedyś smutek i ból, bo każda z nich straciła kogoś bardzo bliskiego. Młodych mężczyzn przetrzebiła wojna i okupacja. Wielu zginęło jako żołnierze 27. Wołyńskiej Dywizji AK i innych oddziałów tej wojskowej formacji. Część dosięgnęła śmierć w sowieckich i niemieckich obozach jenieckich i zagłady. Inni padli pod toporami siekier i widel band ukraińskich, które nie oszczędzały nawet starców, kobiet i dzieci. A jeszcze inni na zawsze pozostali w tajgach Syberii, na bezkresach nieludzkiej ziemi. Przez ostatnie 5 lat żyli w ciągłym strachu, bo z sąsiednich wsi docierały do nich niesamowite wieści, chociażby takie jak ta o 31 sierpniu i 1 wrześniu 1943 r., gdy duże liczebnie i dobrze uzbrojone oddziały UPA w bestialski sposób wymordowały mieszkańców i spaliły zabudowania: Woli Ostrowskiej, Ostrówek, Jankowców, Kał i Kolonii Czmykos. Łącznie zabito wówczas w sposób wyjątkowo okrutny przeszło 1500 osób.

Dziś wieś Rymacze zamieszkują obywatele innej narodowości, chłopci – kołchoźnicy. Ze znajomego horyzontu znikła tylko część wiekowych chałup. A zawirusze wojennej i okrutnemu czasowi oparły się solidne mury Szkoły Powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, stylowego kościoła pw. św. Izidora, który okaleczony zburzoną wieżą stoi osamotniony i kompletnie zdewastowany wśród krzewów dzikiego bzu, przeraźliwie głuchy i pusty, jakby nikomu niepotrzebny.

W czasach władzy sowieckiej tę piękną świątynię zamieniono na klub taneczno-rozrywkowy, gdzie ostro pito bimbier i tańczono do upadłego. A następnie urządzono tu elektryczny młyn zbożowy, który jednak został zamknięty, gdyż wyprodukowana w nim mąka nie nadawała się do spożycia, po prostu z niezrozumiałych powodów była czarna. Ten fakt wywoływał różne, często sensacyjne skojarzenia i domysły o ingerencji sił nadprzyrodzonych. Były też inne niezwykle i niewytłumaczalne zdarzenia i znaki – na przykład pojawianie się w czasie tanecznych biesiad błysków ognia na posadźce świątyni – co powodowało nieukrywany lęk wśród dopuszczających się profanacji tego świętego miejsca gorącej modlitwy. Natomiast w czasie barbarzyńskiego niszczenia wnętrza kościoła i obalania wieży z sygnaturką doszło do wyjątkowo tragicznego wydarzenia. Te tajemnicze zjawiska są tu do dziś powtarzane i komentowane.

Od kilkunastu lat grupa byłych mieszkańców parafii Rymacze z godną podziwu gorliwością i w wielkim trudzie stara się przywrócić to kompletnie zdewastowane święte miejsce służbie Bogu i ludziom żyjącym po obu stronach granicy. W tym celu, przed trzynastoma laty został powołany w nadgranicznym Dorohusku z inicjatywy Pani Seweryny Sawoszczuk Społeczny Komitet Renowacji Cmentarza i Kościoła w Rymaczach na Wołyniu. Organizacja ta za pozyskane pieniądze od darczyńców zdołała nakryć świątynię ocynkowaną blachą i wstawić metalowe okna oraz uporządkować kompletnie zdewastowany cmentarz parafialny, na którym jest kwatery około 130 żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, poległych podczas przebijania się z niemieckiego okrążenia w kwietniu 1944 r. W tym stanie rzeczy prace renowacyjne przerwano, gdyż trudno jest pozyskać dodatkowe wpłaty na ten wspaniały cel, bowiem społeczeństwo polskie uboższe i do wielu rodzin wkrada się skrajna bieda, czego dowodem jest to, że jedna trzecia dzieci cierpi na niedożywienie. Nowymi, bardzo biednymi parafiami rzymskokatolickimi w Rymaczach i Lubomlu opiekuje się Ojciec Zygmunt Majchert z Zakonu Franciszkanów, proboszcz parafii Kowel na Wołyniu.

* * *

ROK 1939 WOJNA NA WOŁYNIU

Zbliżał się wrzesień 1939 r., hitlerowskie Niemcy i stalinowski Związek Sowiecki zawarły tajny pakt nowego rozbioru Polski. Wszystko wskazywało na to, że wróg z zachodu był już gotów do ataku. W kraju ogłoszono częściową mobilizację, ale nie było już dość czasu na jej urzeczywistnienie. Pierwszego września, o świcie niemieckie żołdactwo napadło na nasz kraj od południa, zachodu i północy. Pod naporem przeważających sił front posuwał się ku centrum i setki tysięcy uciekinierów podążało na wschód, przed bohater-sko walczącymi, lecz cofającymi się armiami Wojska Polskiego. W kraju ogłoszono wówczas pełną mobilizację, a w jej ramach obowiązywała dostawa koni. Ja byłem wówczas uczniem Gimnazjum w Krzemieńcu.

Drugiego, czy też trzeciego września nasz Ojciec, osadnik wojskowy w miejscowości Belweder na Wołyniu, pożegnał się z nami, dosiadł klaczy, bo była młodsza, a więc lepiej nadawała się na potrzeby wojska, i pojechał do jakiegoś rekrutacyjnego punktu żeby ją tam oddać i zarazem – już w wieku lat czterdziestu dwóch – zgłosić się ochotniczo do wojska, by bronić Ojczyzny, tak jak to uczynił wcześniej, w 1920 r. Pod wieczór wrócił do domu na piechotę, bez konia, którego zabrano, a jego na razie nie przyjęto z powodu nadmiaru młodszych od niego ochotników. Kazano mu tymczasem iść do domu, a gdy będzie potrzebny, miano go o tym powiadomić.

Już w trzeci dzień wojny, niemieckie samoloty przyleciały nad Luck i bombardowały przede wszystkim lotnisko i stację kolejową, a także inne obiekty, włącznie z budynkami zamieszkałymi przez ludność cywilną. Nie tylko artyleria przeciwlotnicza otworzyła ogień, ale nawet z karabinów strzelano do nich. Z daleka widzieliśmy pociąg rozrywający się w powietrzu, które nie wyrządziły Niemcom większych szkód, aczkolwiek podobno nad Luckiem zestrzelono dwa nieprzyjacielskie samoloty. Podczas jednego z takich bombardowań widzieliśmy polskie samoloty krążące w oddali, ale z jakiegoś powodu nie atakowały one Niemców. Widocznie nie dorównywały im

technologicznie. Z naszego, dość dalekiego Belwederu widać było czarne kłęby dymu, unoszącego się ponad Łuckiem, i to w kilku miejscach. Takie bombardowania powtarzały się prawie codziennie.

Po tygodniu wojny niemieckie samoloty poczęły przelatywać ponad nami, kierując się dalej na wschód, w stronę sowieckiej granicy, by bombardować inne obiekty i miasta takie jak: Ołyka, Równe i Zdułbunów, gdzie znajdowały się ważne węzły kolejowe. Bywało, że Niemcy – widząc ludzi pracujących w polu, lub pasące się krowy – obniżali lot i strzelali do nich z karabinów maszynowych, widocznie tak sobie, dla śmiertelnej zabawy. Pewna ilość ludzi i bydła została w ten sposób zabita. Ja, będąc kilka razy w polu, gdy zauważyłem nadlatujące samoloty, chowałem się w bruzdach, rowach lub krzakach. Szczęśliwie, w takich przypadkach do mnie nigdy nie strzelali, gdyż byłem dobrze zamaskowany.

Z samolotów Niemcy ostrzeliwali też domy i gospodarskie budynki, szczególnie wówczas, gdy zauważyli tam kręcących się ludzi. Aby tego uniknąć, gdy samoloty nadlatywały chowaliśmy się do domu, albo pod drzewa.

Setki tysięcy uciekinierów cofających się przed frontem, kierowało się na wschód. U nas wówczas schronili się znajomi naszego ojca – burmistrz miasta Praszki ze swoją rodziną i jedno małżeństwo z dwojgiem dzieci, mieszkające na stałe w Łucku, lecz też pochodzące z Praszki, rodzinnego miasta mojego Ojca.

Po śmierci mojego wujka, wujenka pozostała z czworgiem dzieci jeszcze za małych, żeby mogły pracować na gospodarstwie. Była więc zmuszona wynająć kogoś do pomocy. We właściwym czasie znalazł się mężczyzna, o imieniu Franek, który miał około 35 lat, znający się na pracy w gospodarstwie, więc wujenka go wynajęła. Franek podobno był Polakiem, chociaż tego nie można było stwierdzić na sto procent, gdyż zdradzał sympatie prokomunistyczne, co w przedwojennej Polsce nie było mile widziane, a nawet w niektórych przypadkach karane. Słyszałem, że Franek za swoją działalność na rzecz komunizmu przesiedział jakiś czas w więzieniu, ale bliższe szczegóły o jego przeszłości nie były mi znane.

Zaraz po wybuchu wojny, Polacy organizowali się w grupy, po kilku lub więcej osób i nocami patrolowali swoje sąsiedztwa, z my-

śłą o utrzymaniu porządku i zapewnieniu bezpieczeństwa swoim rodzinom, jak też w celu przeciwdziałania jakimkolwiek wywrotowym działaniom elementów wrogo nastawionych do Polski. Ojciec, wspomniany Franek i kilku innych mieszkańców Belwederu utworzyli taką grupę, która między innymi miała za zadanie obserwowanie Weberów i Pawlików, a więc Niemców znanych ze swoich sympatii i entuzjastycznego podziwu dla Hitlera. Szczególnie chodziło tu o Webera. Franek, ta komunistyczna swołocz, już następnego dnia udał się potajemnie do tych Niemców, by im wszystko opowiedzieć, a więc co się robi na tych nocnych patrolach, a może jeszcze i coś od siebie dodał. Dbając przede wszystkim o swoją skórę, chciał się tym Niemcom przypodobać, gdyby ta okolica znalazła się pod kontrolą agresora, wówczas on – za wstawiennictwem Webera i Pawlika, być może miał by specjalne względy i poniósłby konsekwencje za przynależność do komunistycznej hołoty.

Po upływie około dziesięciu dni od wybuchu wojny, polskie władzeabrały Webera do Berezy Kartuskiej, karnego obozu na Polesiu, dokąd posyłano przeważnie przestępców za wywrotową działalność przeciw Polsce. Webera przetrzymano tam około dziesięć dni. Po jego wypuszczeniu, gdy wrócił do domu, do innych oskarżał naszego ojca o to, że to przez niego był posłany do Berezy, i się nawet odgrażał. Nie ukrywał, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, to się z nami rozprawi. Na szczęście Niemcy do nas nie doszli, bo inaczej to byłoby z nami źle, a najprawdopodobniej to by nas wcale nie było.

Nasi goście z Praszki nie czuli się u nas zbyt bezpiecznie. Po nocach czuwali, nie śpiąc na zmianę. Szczególnie obawiali się ukraińskich nacjonalistów, którzy mogli wykorzystać krytyczną sytuację w jakiej znalazła się Polska i na tyłach walczących wojsk działać na szkodę Polaków. Było wiadomo, że wielu z nich uważało Niemców za swoich sprzymierzeńców, którzy będąc w wojnie z Polską mogli wykorzystać ich dla swoich zbrodniczych celów. W tym czasie krążyły pogłoski, że w wielu miejscowościach Ukraińcy, widocznie na własną rękę, w różny sposób, najczęściej bandycki, działali przeciw polskim władzom i ludności.

W drugim tygodniu wojny, pomimo bohaterskiego oporu wojsk polskich i deklarowanego przystąpienia Anglii i Francji do wojny,

Niemcy – mający dużą przewagę i bardziej nowoczesne uzbrojenie w dużym stopniu finansowane przez pewne zachodnie kraje – zajmowali coraz to większe połacie ziem polskich, zamieniając w ruiny miasta i wsie, dziesiątkując zamieszkałą tam ludność. Przed następującym wrogiem masy uciekinierów kierowały się do wschodnich województw, między innymi do nas, na Wołyń. Wszystkie ważniejsze drogi były zapełnione ludźmi podążającymi na wschód z tym wszystkim, co mogli ze sobą zabrać. Przystąpienie Anglii i Francji do wojny nie miało żadnego wpływu na to, co się działo w kraju. U nas sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Słyszało się różne pogłoski, ale trudno było się rozeznać, które są prawdziwe, a które nie. Opierając się na nich, łatwo było wywnioskować, co może przyszłość nam najbliższa przynieść. Najprawdopodobniej nic dobrego, a w najgorszym razie nawet śmierć, która w tych ostatnich kilkunastu dniach wojny już spotkała dziesiątki, albo nawet setki tysięcy mieszkańców Polski.

Będąc świadomy tak groźnej sytuacji, wybrałem się sam, rano siedemnastego września do naszego parafialnego kościoła w Poddębcach, żeby się wypowiadać, przyjąć Komunię świętą i być gotowym na wszelką ewentualność. Nasz kościół stał niedaleko głównej szosy, prowadzącej z Łucka do Ołyki. Po dotarciu tam zauważyłem dziwną rzecz. Ludzie zamiast iść na wschód, szli na zachód. Czyżby Niemcy zaniechali podboju Polski i wojna się skończyła? Może dostali jakieś ultimatum i wycofują się z zajętych ziem. Takie i inne myśli przychodziły mi do głowy, ale na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Stało się coś niespodziewanego i tragicznego. Pomimo paktu o nieagresji, rano tego dnia wojska sowieckie przekroczyły polską granicę i zaatakowały nas od tyłu, posuwając się w kierunku zachodnim, by spotkać się z swoimi współnikami napadu, w sytuacji, gdy wojska nasze starały się ostatnimi siłami powstrzymać napór niemiecki. Po wypowiedaniu się i przyjęciu Komunii, około południa wróciłem do domu. Tam już o wszystkim wiedzieli rodzice i sąsiedzi z Belwederu.

Tegoż samego dnia pokazały się na niebie sowieckie samoloty zrzucające ulotki przedstawiające siebie jako „oswobodzicieli”. Początkowo mieliśmy pewne wątpliwości co do prawdziwych intencji

Bolszewików. Nawet myśleliśmy, że może wkroczyli do Polski, by nam pomóc walczyć z Niemcami. Ale po przeczytaniu ich ulotek wszelkie wątpliwości się rozwiały. Było jasne, że uczynili to jako wrogowie, żeby wspólnie z Niemcami pokonać Polskę i podzielić się łupem, zagrabiając dla siebie połowę jej terytorium.

I zwała się ponownie na Polskę bolszewicka szarańcza, przepędzona stąd dziewiętnaście lat wcześniej. Tym razem imperium spadkobierców Dżingis Chana znalazło godnego siebie partnera w osobie Hitlera i narodu niemieckiego. Polska, pomimo bohaterskich czynów swych żołnierzy i cywilnej ludności, nie była w stanie obronić się przed napastnikami i pod nawałą przeważających sił uległa, ale się nie poddała.

Już następnego dnia, to jest osiemnastego września, hordy Stalina przewaliły się przez Belweder pojazdami po trakcie, ale i pieszo przez pola i lasy, nie napotykając prawie na żaden opór z naszej strony. Tak przynajmniej się działo w naszej okolicy. Przechodząc przez Belweder, krasnoarmiejcy zachodzili do każdego domu i zabierali wszelką broń. Nam zabrali rewolwer i karabin, który ojciec używał przeciw nim w 1920 r. i na tę broń miał urzędowe pozwolenie.

Nie widziałem, żeby tych napastników ktokolwiek witał, tym bardziej entuzjastycznie, jak głosiła ich propaganda. Opowiadano, że Żydzi w miastach witali ich bukietami kwiatów, ale chyba tylko z pobudek oportunistycznych, ponieważ pod sowiecką okupacją handel – główna specjalność żydowska – został drastycznie ograniczony. Niektórzy Żydzi jednak i bez handlu dawali sobie w komunizmie dobrze radę. Do nowo utworzonych instytucji i urzędów, szczególnie na naczelników milicji, Sowieci werbowali przeważnie Żydów. Należy sądzić, że do innych nacji nie mieli zaufania. Polak, dyrektor gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Łucku został zwolniony ze swojego stanowiska i podobno aresztowany, a na jego miejsce władze okupacyjne mianowały Żyda. Takich przypadków było znacznie więcej. Żydzi zaczęli odgrywać pierwszoplanową rolę w tym zbrodniczym systemie.

Pomimo że za wolnej Polski Żydom powodziło się na ogół lepiej niż innym nacom, w tym Polakom, teraz stworzyły się dla nich no-

we możliwości, których nie omieszkali wykorzystać, a do Polaków, tych jeszcze nie aresztowanych, powiadali: „Wasze się skończyło, teraz nasze się zaczyna!”. Karol Marks z pewnością byłby z nich bardzo dumny, gdyby jeszcze żył.

Zaraz na drugi, czy trzeci dzień po wejściu Czerwonej Armii, nasi goście z Praszki pożegnali się z nami i ruszyli w drogę, prawdopodobnie powrotną, do swych domów w tym mieście położonych. Ojciec odwiózł ich do Łucka, a stamtąd każdy już na własną rękę wyruszył w dalszą drogę. Zostawili nam trochę złotych, niby za pobyt i wyżywienie, ale okazało się, że te pieniądze straciły wartość, bo okupant szybko wprowadził ruble i kopiejki jako walutę obiegową.

Chociaż sytuacja polityczna zmieniła się radykalnie na naszą niekorzyść i siedzieliśmy jak na wulkanie, nie wiedząc kiedy wybuchnie, nie było możliwości ucieczki. Więc podobnie jak wszyscy inni Belwederczycy pozostaliśmy na miejscu, oczekując co będzie dalej. W międzyczasie trzeba było jakoś żyć i próbować przystosować się do tej nowej sytuacji, pełnej niepewności i niebezpieczeństwa ze wsząd nam grożącego.

Ze względu na odległość i niepewność sytuacji, mój wyjazd do Gimnazjum Krzemienieckiego był wykluczony, ale rodzice doszli do wniosku, że nauka jest rzeczą niezbędną w każdej sytuacji i zawsze się przyda. W pobliskim Łucku było gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki, więc zdecydowali się mnie tam posłać. Mając świadectwo ukończenia pierwszej klasy gimnazjum, bez większych trudności zostałem przyjęty do drugiej klasy. To załatwiło szkołę, ale trzeba było gdzieś mieszkać. Okazało się, że z tym też nie było kłopotu. Jak wiadomo, charakterystyczną cechą komunistycznych systemów są braki wszelkiego rodzaju. Już niedługo po przyjeździe „oswobodzicieli”, w miastach braki żywnościowe zaczęły się dawać mocno we znaki. Mówiło się, że oswobodzili nas ze wszystkiego: żywności, odzieży, obuwia i innych niezbędnych rzeczy codziennego użytku, a przede wszystkim z wolności. Wobec takiej sytuacji w Łucku, w zamian za żywność można było bez większych trudności wynająć mieszkanie. Początkowo mieszkalem jakiś czas na ulicy Stefana Batorego, u naszego znajomego rodem z Praszki, a potem przeniósłem się około pół kilometra dalej, też na ulicę Batorego, do mieszkania,

którego właściciele prowadzili sklep cukierniczy. Zamieszkało nas tam dwóch, ja i kuzyn Tadek.

We wrześniu tego roku, Tadek miał rozpocząć naukę w gimnazjum mechanicznym w Kowlu, ale z tych samych powodów, co i ja, nie pojechał tam. Natomiast został przyjęty do ogólnokształcącego gimnazjum w o wiele bliższym Łucku. Mieszkaliśmy więc razem i chodziliśmy do tego samego gimnazjum, ja do drugiej, a on do pierwszej klasy, przez niespełna pół roku szkolnego, mniej więcej do połowy stycznia.

Ponieważ w ostatnich trzech miesiącach 1939 r. nie mieszkalem w domu rodzinnym, wiem tylko coś niecoś z opowiadań innych, co tam się działo. Otóż Franek, który pracował u wujkowej odszedł. Weber, nasz sąsiad, chodził i agitował wśród Ukraińców z Romanowa przeciw naszemu ojcu, niewątpliwie za to, że niby przez niego był posłany do Berezy. Widocznie próbował naszczuwać ich na ojca, żeby nam jakąś krzywdę wyrządzili. W międzyczasie Hitler zawarł ze Stalinem umowę, na mocy której Niemcy ze wschodniej Polski, okupowanej przez Sowieców mieli być repatriowani do Niemiec, a w rzeczywistości na świeżo zajęte tereny zachodniej Polski, by tam objąć gospodarstwa po naszych rodakach przymusowo wysiedlonych do centralnej Polski. Repatriacja ta odbyła się jeszcze przed końcem 1939 r. Wśród repatriantów znaleźli się między innymi Weber, Pawlik, i prawie wszyscy Niemcy z Cezaryna oraz niestety rodzina Kolaśińskich z Belwederu. Zakwalifikowano ich do wyjazdu dlatego, że Kolaśińska była Niemką. Widocznie w ten sposób chcieli się wydostać z matni, w jakiej my, Belwederzczycy, znaleźliśmy się, bo nie tylko Niemcy dążyli do naszej zagłady, ale i okupanci ze wschodu, jak też miejscowi Ukraińcy.

Chcąc kupić jakiegokolwiek niezbędne do życia towary, czy artykuły spożywcze, których było coraz mniej, należało teraz mieć ruble. W gospodarstwie rolnym głównym, a często jedynym sposobem zdobycia pieniędzy była sprzedaż artykułów żywnościowych. Zboże trzeba było jak dawniej wymłócić i odpowiednio przygotować do sprzedaży, czy do zmielenia na mąkę. Gdy to u nas robiono tej jesieni, byłem w Łucku, więc pomóc nie mogłem, lecz później słyszałem, że było z tym wiele trudności, bo do pracy przy młóceniu nie było

chętnych, trzeba było ze wszystkim samemu się jakoś uporać. Sąsiedzi pomagali sobie nawzajem jak mogli, tak że pomimo różnych przeciwności zdołali jako tako przygotować się do zimy. Zgodne z teorią Karola Marksa jest powiedzenie: „Co twoje to moje, a co moje to nie twoje”. Jak można było się spodziewać, ci co brali, to komuniści i inna hołota z nimi spokrewniona, a ci, którym zabierano, to nie komuniści, którzy najczęściej ciężką pracą zdołali się czegoś dorobić.

I tak pewnego dnia, a było to w październiku 1939 r., bandy uzbrojonych Ukraińców z Romanowa zwały się na Belweder i chodząc od domu do domu zabierali co im się podobało: krowy, konie, świnie, zboże, narzędzia rolnicze, wyposażenie mieszkań, a więc wszystko, co im się nawinęło pod rękę. W tydzień potem zjawili się inni, i zbierali to, co ci pierwsi nie zdołali zrabować. Jakby wspaniałomyślnie pozostawili tylko po jednej krowie, koniu, świni i trochę zboża na chleb. Podczas tych dwóch rabunków ogołocili nas i innych Belwederczyków prawie ze wszystkiego. Była obawa, że następnym razem zabiorą i to, co nam jeszcze pozostało. Tak więc Polacy, mieszkańcy Belwederu, skazani byli na łaskę i niełaskę bandyckiego tłumu. Rabusie chodzili sobie bezkarnie od domu do domu i plądrowali. Widocznie przeciw temu nie było żadnego prawa. Tłum ustanawiał swoje własne prawa, a okupant ze wschodu przymykał oczy, a kto wie, może nawet zachęcał do takiego bezprawia, mszcząc się w ten sposób na tych, którzy go przed dziewiętnastoma laty z Polski skutecznie przepędzili.

Jak wiadomo, były to dopiero początki tego, co nas jeszcze miało spotkać. W tym czasie krążyły (później potwierdzone) pogłoski, że w innych okolicach Wołynia zgraje ukraińskich rezunów napadały na poszczególne polskie zagrody, zabierali przeważnie mężczyzn z domów, i ci ginęli bez wieści. Zdarzało się, że znajdowano zmasakrowane zwłoki takich nieszczęśników gdzieś w pobliskich bagnach lub w lesie, ale o większości pojmanych słuch bezpowrotnie zaginął. Widocznie władzom sowieckim takie bandyckie postępowanie też było na rękę, bo wcale w takich przypadkach nie interweniowały, lecz sami podobnie czynili, aresztując, torturując, rozstrzeliwując i deportując tych Polaków, których podejrzewali o nieprzyjazne do nich nastawienie. Na początek tak się stało z byłymi policjantami,

urzędnikami polskiej administracji, oficerami WP, żołnierzami KOP, księżmi, właścicielami ziemskimi, a potem jeszcze z innymi – dla okupanta niewygodnymi, do których można było zaliczyć prawie wszystkich Polaków, a szczególnie ludzi światłych.

Nie ulegało wątpliwości, że stalinowska klika na Kremlu zdecydowała się włączyć tę część Polski na stałe do sowieckiego imperium, a że Polacy na to by się nigdy nie zgodzili, więc według niej należało ich usunąć w taki, czy inny zbrodniczy sposób.

Będąc świadomi tak niepewnej, wręcz niebezpiecznej sytuacji, pewnego grudniowego dnia delegacja przedstawicieli Belwederu udała się do Romanowa, do budynku, w którym odbywało się jakieś zebranie tamtejszych mieszkańców. Gdy ich spostrzeżono powstało chwilowe zamieszanie i niepokój wśród zebranych Ukraińców, a to prawdopodobnie z obawy przed Belwederczykami, gdyż nie spodziewano się nieproszonych gości, no i nie byli pewni ich zamiarów po bandyckich grabieżach w tej osadniczej enklawie. Ale to niedługo trwało i wnet się uspokoili, gdy Belwederczycy wyjaśnili, że przyszli nie w złych zamiarach, lecz po to, by z nimi szukać porozumienia w sprawie przyszłego współżycia, gdyż za wolnej Polski tyle lat żyli po sąsiedzku, bez większych nieporozumień i chcieli żeby tak dalej pozostało. Należy dodać, że Romanów był wsią ukraińską.

Po wysłuchaniu tego oświadczenia i naradzeniu się, jeden z prowodyrów zebrania zapewnił delegację, że mieszkańcy Belwederu nie potrzebują się ich obawiać. Oni nas zostawią w spokoju, bo i tak – dodając na „pocieszenie” – wkrótce będziemy z Belwederu usunięci przez kogoś innego. Wyższe władze tym się zajmą. I tak się stało. Belwederczyków wywieziono w środku zimy w głąb nieludzkiej ziemi, gdzie masowo umierali z głodu, zimna, chorób, nieludzkich warunków życia i ciężkiej, niewolniczej pracy.

Mając takie „zapewnienie”, Polacy wrócili do swych domów, nie czując się wiele bezpieczniej. Nasz ojciec i wielu innych osadników, często nie nocowało w domach, lecz gdzieś w stodołach lub chlewach. Oczywiście dopóki było ciepło, a gdy nastało zimno, to u znajomych, nawet poza Belwederem. Nasz ojciec wiele nocy spędził w domu państwa Lewkowiczów na Marianówce. Tam też oddaliśmy do przechowywania „Singera”, maszynę do szycia, żeby w razie następ-

nego plądrowania przez Ukraińców z Romanowa, jej nam nie zabrano. Podczas takich nocy mama zostawała w domu z młodszymi dziećmi sama, a ja będąc w Łucku, wiedziałem bardzo mało o tym, co się działo w rodzinie i w Belwederze. Gdy w tym czasie tato przyjeżdżał kilka razy do Łucka, ze zrozumiałych względów niewiele mi na ten temat mówił. Byłem więc w miarę spokojny.

A w Łucku sytuacja też się pogarszała z dnia na dzień. Za wolnej Polski, miasto, dobrze prosperujące, pogodne i tętniące życiem, teraz stało się ponure, w dużej mierze opustoszałe, niby zamierające. Ludzie stali tu w długich kolejkach za artykułami pierwszej potrzeby, takimi jak mydło, nafta, sól, itp. Koczowali godzinami na ulicach w chłodzie i słońcu nie wiedząc, czy w ogóle dla nich coś jeszcze zostanie ; chociażby jeden kawałek mydła, pół litra nafty, lub kilogram soli, bo tylko tyle można było kupić po wystaniu w kolejce na dworze przez wiele godzin. Po wyprzedaniu, lub ukryciu towarów, które pozostały z czasów Polski, sklepy stawały się puste i zamykano je, żeby więcej nie otworzyć, bo niby po co, jeżeli nie ma czym handlować. Wówczas zrozumiałem, że kolejki i powszechny brak towarów są dewizą komunizmu i władzy sowieckiej.

W miastach – o wiele łatwiej niż na wsi – można było gdzieś się schronić, dlatego też wielu Polaków, którym groziło niebezpieczeństwo ze strony okupanta, czy też miejscowych komunistów, lub nacjonalistów ukraińskich, często znajdowało tymczasowe schronienie w większych osiedlach, takich jak Łuck.

Władze sowieckie posługiwały się lokalnymi donosicielami, których werbowwały w celu poszukiwania i aresztowania tak zwanych „kontrrewolucjonistów i wrogów Sowieckiego Sojuza”. Oczywiście chodziło tu głównie o Polaków. Aresztowani byli przesłuchiwani, torturowani i likwidowani. Innych okupant wywoził w głąb Rosji, na poniewierkę, a najczęściej na przedwczesną głodową śmierć. Takie aresztowania i likwidacje były wtedy na porządku dziennym. W okupowanej Polsce, Stalin zaprowadzał taki terror, jaki panował w jego kraju już od wielu lat, a rozpoczął się od chwili przejścia władzy przez zbrodniarza Lenina.

Stalin chciał te polskie ziemie szybko wcielić do Związku Sowieckiego, więc zarządził plebiscyt w celu formalnego usankcjonowania.

wania tego zbrodniczego aktu. Jak się można było spodziewać, sfałszowany wynik głosowania był taki, że ludność nie tylko się zgadzała, ale jej 90% wręcz domagało się, i wprost prosiło „niegasnące słoneczko” na Kremlu, o pozostanie w sowieckiej niewoli na zawsze, bo to przecież – jak głosiła marksistowska propaganda – jest raj na ziemi. A kto by nie chciał żyć w raju? Oczywiście tak zwany plebiscyt był spreparowaną komedią, a jego wynik został z góry ustalony przez zbrodniczego najeźdźcę. Jak wiadomo, Związek Radziecki, (a może raczej zradziecki) nigdy nie zwrócił Polsce ziem, zagrabionych na mocy kryminalnego paktu, uknutego przez dwóch największych zbrodniarzy, Hitlera i Stalina.

Gdzieś w Łucku ukrywała się hrabina Jezierska. Nie wiem jak nasz ojciec dowiedział się, gdzie mieszkała. Gdy przyjeżdżał od czasu do czasu do mnie, to zawoził jej też jakąś żywność. Przecież, gdy mieszkała w Sieniakowie, byliśmy jej bliskimi sąsiadami. Zanim powstała nasza nowa parafia w Poddebcach, jeździliśmy co niedzielę na Mszę Św. do hrabiowskiego kościoła w Worotniowie. A nasza działka, podobnie jak pozostałe w Belwederze, była ziemią dawniej należącą do hrabiostwa Jezierskich.

Po ukończeniu pierwszego półroczu drugiej klasy gimnazjalnej, wróciliśmy z kuzynem Tadkiem na krótkie ferie do domu, a było to mniej więcej w połowie stycznia. Po kilku dniach ojciec odwiózł nas ponownie do Łucka na drugie półrocze. Dwa dni później ponownie przyjechał i zabrał nas do domu. Nie wiem dlaczego tak uczynił? Może nie mógł się zgodzić na kosztą mieszkaniową, albo już podejrzewał, że mogą nas wkrótce z Belwederu wysiedlić i rodzice nie chcieli nas samych w Łucku zostawić. Tak się skończyło moje chodzenie do gimnazjum w Łucku, w czasie sowieckiej okupacji. Drugiej klasy nie ukończyłem. Dalsze nauki pobierałem już poza granicami naszej Ojczyzny, z której zostaliśmy wyrzuceni.

Podczas gdy ja byłem w Łucku, Bronia, Kazik i Genia – moje rodzeństwo – chodzili do szkoły w Romanowie. Lekcje teraz prowadzono tam wyłącznie w języku ukraińskim. Polski został całkowicie wyeliminowany. Uczyli na razie ci sami co poprzednio nauczyciele, z państwem Zagwojskimi w roli kierowniczej.

Nasze wiadomości o tym, co się w świecie działo były raczej skromne, przeważnie w formie pogłosek usłyszanych przez kogoś w radiu, przekazywanych z ust do ust, niewątpliwie w wersji wielce zniekształconej, bądź w wielu przypadkach zmyślonej. Byliśmy poddani jednostronnej propagandzie, którą nas okupant obdarzał, zgodnie z jego dotychczasową polityką i zamierzeniami na przyszłość. W świetle tych – często sprzecznych ze sobą dobrych i złych wiadomości – ciągle mieliśmy tę, jakże nierealną nadzieję, że wkrótce stanie się jakiś niezwykle cud i wszystko powróci do normalności, i to pomimo że wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały, iż na to się nie zanoszą. Czasem zdawało się nam, że to co się stało w ostatnich kilku miesiącach, to jakiś koszmarny sen, z którego po przebudzeniu się wszystko znów będzie po dawnemu. Byliśmy przekonani, że ci nasi sprzymierzeńcy, Anglia i Francja, którzy przystąpili do wojny w naszej obronie, wkrótce położą hitlerowskie Niemcy na łopatki, nakazą Stalinowi wynieść się z Polski i ponownie będziemy wolni w niepodległej Ojczyźnie.

Jednak były to tylko marzenia, niespełnione nadzieje, a rzeczywistość okazała się inna. Wszystko wskazywało na to, że nasze życie jest w ciągłym niebezpieczeństwie. Nasz odwieczny wróg ze wschodu znów najechał nasz kraj oraz siłą narzucił nam swą władzę i wypaczony marksistowski system. To, co jeszcze nie tak dawno wydawało nam się obce, odrażające, nierealne, dalekie choć nie odległością lecz wyobraźnią, stało się rzeczywistością. To zło, o którym się wiele słyszało i wiedziało, że istnieje, ale dzięki Bogu nie u nas, lecz gdzieś tam za daleką granicą, która nas dotychczas przed nim chroniła. Ten okrutny potwór nagle nas opanował, zacisnął wokół nas swoje diabelskie szpony, żebyśmy się z nich nie mogli wyswobodzić. Dla kresowych Polaków nastał czas apokalipsy, czas wielkiej, wręcz niewyobrażalnej tragedii. A to dlatego, że haniebnie zdradzili nas i opuścili sojusznicy, a wolny świat odwrócił się z obojętnością od narodów zniewolonych przez dwa zbrodnicze systemy i państwa.

Z tego faktu wielkiej zdrady i haniebnego zobojętnienia winniśmy czerpać nauki i wyciągać wnioski na przyszłość, bowiem historia lubi się powtarzać w odnowionych odsłonach.

* * *

WSPOMNIENIA O WOŁYNIU BYŁEM ŚWIADKIEM WIELKIEJ ZBRODNI

Lektura wspomnień, spisanych przez ludzi zamieszkałych na Wołyniu w okresie międzywojennym i w czasie okupacji, skłoniła również mnie do podzielenia się swoimi przeżyciami z tego okresu. Będą to wspomnienia po 60 latach, obecnie 75-letniego emeryta, wzbogacone relacjami ludzi mi znanych i bliskich oraz moich kochanych Rodziców.

Urodziłem się w 1928 r. w rodzinie, która przybyła siedem lat wcześniej na Wołyń, do Kolonii Berezowicze, gm. Mikulicze, pow. włodzimierskiego, kupując od hrabiego Leduchowskiego ziemię po parcelacji tego majątku. Rodzice przybyli tu z woj. lubelskiego, pow. kraśnickiego i krasnostawskiego. Dziadkowie moi, kierując się wizją i nadzieją poprawy losu swych dzieci, zakupili tam ziemię, bo widzieli przyszłość w pracy na roli. Jak wynika z opowiadań rodziców, lata te nie należały do łatwych, gdyż musieli zacząć od uprawy ugorów. Do tego dochodził fakt braku budynków i szansy na pomoc władz, które znalazły się w trudnej sytuacji tworzenia zrębów państwowości. Ale po kilku latach ciężkiej pracy te trudne czasy do 1939 r. były już poza nimi.

Takich osadników polskich przybyło więcej w tym czasie i w sumie do 1943 r. zamieszkiwało naszą kolonię 25 rodzin. Pochodzili oni z woj. kieleckiego, lubelskiego i Galicji. Było też tu kilka innych rodzin polskich, które pracowały w tym majątku aż do czasu jego parcelacji. Wieś zamieszkiwali również Ukraińcy, trzy rodziny żydowskie i jedna niemiecka.

A teraz przechodząc do stosunków polsko-ukraińskich, odnotuję to, co zapamiętałem sam i przekazali mi Rodzice, a także znajomi. Wrogość do Polaków narastała wraz z powstaniem Państwa Polskiego, bo już w miesiącu lutym 1926 r. na naszej kolonii, do sąsiada Walentego Kociola – jak opowiadała moja Mama – przyszło wieczorem kilku Ukraińców z bronią i zażądali wydania pieniędzy, a gdy im odmówił, to przystąpili do bicia go kolbami karabinów. Gdy w

czasie tego bicia jednemu z nich wypalił karabin, przerwali katowanie w obawie przed denuncjacją. Na odchodne podparli drzwi od zewnątrz i cały dom podpalili. Żona napadniętego wraz z dziećmi i pobitym mężem wydostała się z płonącego domu oknem na zewnątrz. Oddalający się bandyci oddali kilka strzałów do ludzi biegnących na ratunek pogorzelcom.

W okresie międzywojennym takich podpaleń naszych gospodarzy było trzy. Ostatnie miało miejsce w 1938 r. W tym też roku, jesienią Ukraińcy spalili naszego najbliższego sąsiada, zarazem naszego wujka, Józefa Krawczyka. Taką metodę stosowali również wobec swoich rodaków, na przykład syn spalił zabudowania swojego ojca, który był z nim w konflikcie. Wybierali jesienną porę, po zbiorach i po omłotach, bo lepiej paliła się świeżo wzburzona słoma i straty były większe, a więc bardziej dotkliwe.

Inspiracje do swych zbrodniczych działań przeciwko Polakom czerpali z dwu stron, z rozprzestrzeniającej się orientacji komunistycznej i rodzimej, nacjonalistycznej. Pamiętam napis kredą pod miastem w języku ukraińskim: „Borotiba na smert ta żytia (Walka na śmierć i życie)”. Uczęszczając od 1935 r. do szkoły we wsi Jakowicze, która było obok cerkwi, w czasie świąt prawosławnych wyczuwało się wrogie nastawienie do dzieci polskich. Zapamiętałem także okrzyki kierowane pod naszym adresem np.: „Ja tebe zaryżu”. Tak starsi chłopcy ukraińscy odnosili się do nas Polaków. Przechodząc do okresu wojny 1939 r., już w niedzielę 17 września, zadowoleni z naszej klęski Ukraińcy wznosili wrogie okrzyki pod adresem mojego wujka i innych mieszkańców.

Okres sowieckiej okupacji w niedługim czasie trochę przetrzebił Ukraińców. I tak do więzienia zostało wtrąconych pięciu, a szósty ukrywał się przed aresztowaniem, za co rodzina jego została wywieziona na wiosnę 1941 r. na Sybir. Trzech z aresztowanych Ukraińców (przed wkroczeniem Niemców do Włodzimierza Wołyńskiego w niedzielę 22 czerwca) zostało rozstrzelanych przez NKWD.

Jeden z tych, który powrócił z więzienia, był posłem do polskiego Sejmu w latach trzydziestych, a nazywał się Nestor Chomiak i stał się ideowym przywódcą wrogów Polaków. Drugi był przed wojną wójtem w gminie Mikulicze, a nazywał się Radczyk. W czasie oku-

pacji niemieckiej został wybrany starostą we Włodzimierzu. Tuż przed wkroczeniem na Wołyń Armii Czerwonej w 1944 r. opuścił wraz z Niemcami miasto i następnie osiadł wraz z rodziną aż w Kanadzie, gdzie znalazło bezpieczne schronienie i przyjazny klimat wielu ukraińskich zbrodniarzy i pospolitych bandytów, których nigdy nie dosięgła ludzka sprawiedliwość.

Wiosną 1942 r. sołtys ukraiński naszej kolonii z pośród 25 rodzin wytypował 8 osób na przymusowe roboty do Niemiec. Trzem naszym młodym rodakom komisja, która składała się z Polaków, we Włodzimierzu Wołyńskim ułatwiła ucieczkę i wrócili do domów, ukrywając się przez pewien czas.

Już w czerwcu 1942 r. w sąsiedniej wsi Jaworówka, ukraińska policja pod dowództwem Niemca zamordowała sześciuosobową rodzinę Opałów za sprzyjanie partyzantom sowieckim, rekrutującym się ze zbiegłych jeńców wojennych z obozów, gdzie byli mordowani głodem i masowo rozstrzeliwani.

W lecie 1942 r. odbywały się intensywne zebrania we wsiach, tak zwane mityngi, na których to górowała pieśń ze słowami: „Smert Lachom, smert”. Ta pieśń stała się wręcz ich hymnem narodowym. Również w lecie tego roku rozpoczęto usypywanie z ziemi kopców, które miały symbolizować groby na zawsze zgładzonej Polski. Powstawały one przeważnie z inicjatywy popów przy cerkwiach, np. we wsiach: Berezowicze, Bobicze, Mikulicze i innych. W tym czasie popi odgrywali znaczącą, a często wręcz pierwszoplanową rolę w podsycaniu skrajnej nienawiści do Polaków i skłaniania swoich wiernych do podjęcia masowych rzezi bez przejawiania litości i ulegania błagalnym prośbom ofiar.

I tak nadszedł rok 1943. Już w okresie zimy wysłano do przymusowych robót w Niemczech naszego brata ciotecznego, mimo że był po przebytych zapaleniu płuc. Ja, mając nieskończone 15 lat, zostałem przez sołtysa wysłany do lasu w leśnictwie Hubin i tam pod nadzorem niemieckim przymusowo pracowałem w lutym i na początku marca. Żyjąc w dobrych stosunkach z moim rówieśnikiem, Ukraińcem, Wołodią Saretiukiem odczułem, że on i jego rodzice zmienili na wrogi stosunek do nas Polaków. W marcu ukończyłem lat 15 i zostałem wytypowany do pracy niewolniczej w Niemczech, ale dezer-

cja do lasu policji ukraińskiej z posterunku w Mikuliczach uratowała mnie od wywózki. Od tego czasu już nie nocowałem w domu, bo nie wiedziałem jeszcze, że władza wykonawcza już nie funkcjonuje. W marcu, od ludzi, którzy chodzili w niedzielę do kościoła w Łokaczach, można się było dowiedzieć o mordach na naszych rodakach w północno-wschodnich powiatach Wołynia. Były to wieści dla nas groźne, ale nie dopuszczaliśmy w myśli tego, że ta fala rzezi ogarnie cały Wołyń i wszystkich zamieszkałych tam Polaków. I tak, nie czekając długo, już w miesiącu kwietniu przed świętem Wielkiej Nocy, we wsi Chobułtowa, w nocy nastąpił napad Ukraińców, którzy wymordowali 9 osób z rodziny Rudnickich. W kilka dni później bandyci zgładzili 10-osobową rodzinę Romanowskich w Kolonii Jaworówka. Tylko matka zdołała się uratować chowając się w czasie napadu pod stół zakryty dużym obrusem.

W miesiącu kwietniu bandyci ukraińscy zabrali z domu 54-letniego Władysława Gałatę, mieszkańca wsi Jakowicze, który już nigdy nie wrócił do domu. W tym też czasie spalono dom i zamordowano rodzinę ukraińską we wsi Bobicze, żonę matkę i syna za to, że mąż został powołany do armii sowieckiej i z niej nie zdezerterował. Zamordowano też w naszej wsi starszego wiekiem Ukraińca, który w latach 1940-41 był nauczycielem w szkole i być może był za bardzo wymagający dla dzieci zbrodniarzy.

Po tych wydarzeniach, od maja już całe rodziny Polaków nie nocowały w domach. Kopano ziemne schrony w obrębie obejść gospodarskich. Każda nadchodząca noc stawała się niepewna, bo nie wiadomo było, kto następny i kiedy będzie zaatakowany.

W nocy 12 maja, o godzinie 23, na naszego wujka, Krawczyka napadło około 20 ukraińskich bandytów. Wyważając drzwi wtargnęli do domu. Ciocia i jej młodsza córka Jadwiga schroniły się do komory za drzwi, a syn Zygmunt na strych i to uratowało im życie. Ich i mój ojciec pobiegli za obręb zabudowań, co też uchroniło ich przed śmiercią. Po tym napadzie, na podany sygnał za pomocą gwizdka, bandyci zebrali się na drodze i oddali salwę, a na drzewie czereśni zostawili pisany na maszynie po polsku swój bandycki program informujący o co walczy Ukraińska Powstańcza Armia. Po tym napa-

dzie wujek uciekł do Włodzimierza, pozostawiając żonę i dzieci w gospodarstwie.

W krótkim czasie nastąpił na naszej kolonii kolejny napad, tym razem na rodzinę Studzińskich, a szczególnie ich syna Stanisława, który będąc kaleki na obie nogi zajmował się szewstwem. Mając akordeon, był wiejskim grajkiem i często przygrywał młodzieży na zabawach. Nocując w stodole umknął bandytom w samej bieliźnie, a oddany strzał w jego kierunku był chybiony i tylko uszkodził koło sieczkarni. Po tym wydarzeniu on też wyjechał do Włodzimierza.

Te wszystkie napady okazały groźbę sytuacji rodzin polskich. Mężczyźni w sile wieku doszli do wniosku, że bez broni palnej trudno będzie przetrwać nadchodzące lato. Zaczęto jej szukać, ale zdobycie było bardzo trudne. Po przejściu frontu w 1941 r. nikt nie myślał, że może ona decydować o życiu lub śmierci swojej osoby i najbliższej rodziny. Pamiętam, że i my z bratem ciotecznym chcieliśmy ją posiadać, ale okazało się to dla nas niewykonalne. Wprawdzie starsi posiadali pojedyncze egzemplarze broni, ale z obawy przed dekonspiracją ukrywali to w tajemnicy. Tak mijały dni i noce maja i czerwca w 1943 r. Wzrastał niepokój wśród ludzi. Już nie myślano o pracy w gospodarstwach, ale jak przetrwać nadchodzącą noc. Wzajemne kontakty Polaków, zamieszkujących we wsiach ukraińskich, zostały poddane kontroli przez ich posterunki. Na głównych drogach Ukraińcy wzmogli obserwację zachowań rodzin polskich przez wysłanie kobiet i dzieci w celach wywiadowczych.

Tak było przed „burzą”, która miała miejsce w niedzielę 11 lipca 1943 r. Na naszą kolonię tego dnia napadu nie było, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że może nastąpić w każdej chwili. Gdzieś koło obiadu dostrześliśmy pożary od strony południowej. Palily się zagrody Polaków zamieszkałych we wsiach: Jankowicze, Biskupicze i Zamlicze. Ludzie odruchowo wiązali dobytek i gromadząc go na wozach przygotowywali się do opuszczenia swych zagród. Tak przyszła noc. Wujek mój, Tadeusz Rubaj oraz Józef Kocioł i Zygmunt Mileczarek, którzy posiadali karabiny produkcji rosyjskiej, udali się furmanką na przełaj polami do Kolonii Adamówka, odległej 2 km na wschód od nas, gdzie była koncentracja Polaków, zorganizowanych w Samoobronie i posiadających sporo broni. Tam otrzymali wiado-

mość o strasznym mordzie w kościele kisielińskim w czasie Mszy św. Wówczas podjęto decyzję, że w poniedziałek, dnia 12 lipca wszyscy chętni Polacy opuszczają swe domy i wyjadą do Włodzimierza. Rankiem zebrało się kilka rodzin, m.in.: Rubajów, Garbaczów, Janików, Głoników, Krawczyków, Kociółów, Łapajów, Pałków, Iwanickich, Milczarków i Bajków i udało się furmankami szosą w kierunku miasta Włodzimierza. W tym czasie było jeszcze spokojnie i cała kolumna wozów, wraz z uczepionym inwentarzem żywym, ciągnęła w kierunku Niemców, bo tylko oni mogli zapewnić nam przetrwanie.

Udając się do Włodzimierza zobaczyliśmy, że w miejscowości Siedmiarki stali Niemcy i patrzyli jak płonie wieś Mariawola, 3 km od szosy na południe, ale byli tylko biernymi obserwatorami.

Po przybyciu pod wieczór do miasta stwierdziliśmy, że był to zjazd wielu rodzin polskich. Pełno było ludzi, furmanek, bydła, na ulicach i dostępnych miejscach postoju. Nasza rodzina wraz z rodziną Bajków została przyjęta przez kolejarza, Stanisława Cakła, mającego dom przy ul. Kolejowej, naprzeciwko ulicy Lwowskiej. Podwórko było tam wyjątkowo obszerne. Niemcy mieli tu skup drobiu. Obok mieszkał Niemiec – naczelnik tutejszej stacji kolejowej, który zezwolił nam na trzymanie koni i bydła w jego zabudowaniach gospodarczych, a także na pędzenie samogonu.

Skupienie takiej ilości ludzi i zwierząt na dłuższy czas stało się niemożliwe. Dużo ludzi przybyło tak jak stali. Były też niepełne rodziny, pojedyncze osoby, a wśród nich dzieci, które ocalały, a rodzice zostali zamordowani. W pierwszych dniach pobytu, Niemcy zorganizowali dobrowolny wyjazd na roboty przymusowe w Rzeszy. Z tej propozycji skorzystało wiele rodzin i pojedynczych osób, by w ten sposób wydostać się z miejsca zagłady. A dla tych, którzy pozostali, problemem stało się nakarmienie ludzi i zwierząt na tak zagęszczonym terenie. Ludzie zaczęli więc rozważać możliwość powrotu do swoich gospodarstw. Był to okres przedziwny, wszystko zaczęło dojrzewać w sadach i na polach, a tu był wielki niedostatek, ale przynajmniej nie było takiego zagrożenia życia jak tam. Ci, którzy zaryzykowali i wrócili na swoje już na zawsze tam pozostali w zbiorowych mogiłach.

Szczególnie zdobywanie paszy dla zwierząt i żywności, stało się nakazem chwili i wszyscy, którzy byli zdrowi i mieli środki transportu, wyjeżdżali na opuszczone pola i zbierali co się dało. Pod kosy i motyki szły rośliny pastewne, mieszanki zbożowe, ziemniaki i wszystko, co było w ogrodach. Najwięcej wyjeżdżaliśmy w kierunku Chobułow, Podhajec i Chmielowa. Jeden raz udaliśmy się do wsi Werba, ale tam był posterunek niemiecki SD, który nas bardzo wrogo przyjął. Dużo więc furmanek wróciło z niczym i więcej w tym kierunku nie wyruszaliśmy. Kilka razy udaliśmy się do polskiej Kolonii Zygmuntówka, która była spalona i część ludzi została wymordowana, a inni uciekli.

Nasi rodacy, którzy nie wyjechali wraz z nami w dniu 12 lipca 1943 r., po żniwach, w połowie sierpnia, zostali napadnięci przez sotnię UPA. Do domów weszli mordercy i tylko nielicznym udało się cudem wydostać z tego pogromu. Zginęły wtedy 24 osoby.

Szczególnie ucierpiała ludność polska w sąsiedniej Kol. Jaworówka. Zginęli tam prawie wszyscy, około 120 osób. Jak wspomina Halina Senderek z domu Cech, tylko dzięki kopkom zboża, które jeszcze były na polu ona – 8-letnie dziecko i jej matka przetrwały. Po dwu dniach tułania się w lesie dotarli do Wojnicy, w której był posterunek niemiecki, a następnie przedostali się do Włodzimierza. Pogromu Kol. Jaworówka dokonali mieszkańcy ukraińskiej wsi Chorostów. To oni są winni śmierci tych niewinnych i bezbronnych ludzi. To oni w miesiącu czerwcu zamordowali jej 15-letniego brata Józefa, który miał nadać paczkę żywnościową dla starszego o 2 lata, przebywającego na robotach w Niemczech, brata. Zabili go za rzekome szpiegostwo. Tak powiedzieli zrozpaczonej matce zabierającej zwłoki syna, którego pochowała w obrębie swojej zagrody.

Nad bezpieczeństwem przy zbiorach płodów rolnych, do późnej jesieni czuwali Polacy zatrudnieni w policji pomocniczej na posterunkach w Chobułow, Włodziewirzówce i Falemiczach.

Od późnej jesieni i na początku grudnia Niemcy, w obawie przed zbliżającym się frontem, organizowali brygady robotników do kopania okopów, transzei i naprawy zbombardowanych torów kolejowych biegnących w kierunku Sokala, które były zrzucone z nasypu i całe splątane. Przy tej pracy Niemcy nas ubezpieczali przed bandami

ukraińskimi. Zapamiętałem, że w miesiącu styczniu 1944 r. miał nastąpić zryw Armii Krajowej w celu wyparcia Niemców z Włodzimierza Wołyńskiego. Na szczęście do tego nie doszło, bo to byłaby zagłada dla nas ze strony Niemców i Ukraińców. Niemcy czuli się niepewnie we Włodzimierzu i wysyłali ludzi cywilnych wraz z policjantami ukraińskimi na patrole po mieście. W takim patrolu uczestniczyłem jeden raz i ja.

Miesiąc styczeń 1944 r. był tej zimy bardzo ciepły. Od strony Lucka ciągnęły tabory konne i samochodowe z różnej maści sługusami Niemców. Część z nich zatrzymywała się, ale w większości kierowali się w stronę Uściługa, bo wszyscy spodziewali się nadejścia frontu. Nasz włodzimierski sąsiad, Niemiec, naczelnik stacji kolejowej, też opuścił swój dom, ale po paru dniach powrócił do miasta.

Nasz gospodarz, Stanisław Cakiel, będąc kolejarem pełnił funkcję kierownika pociągu i wraz z rodziną postanowił wyjechać do Bielina, do swego kuma, bo tam miało być bezpieczniej, ale po kilku dniach też powrócił do domu i na służbę na kolei.

Ludność nie wiedząc, jak się sytuacja rozwinie, zaczęła myśleć o wyjeździe za Bug. W niedzielę 12 lutego 1944 r., podczas Mszy św. ksiądz zachęcał do takiego wyjazdu, bo Niemcy w tym dniu dawali przepustki na przekroczenie mostu na Bugu w Zosinie. Skorzystała z tego również moja rodzina. Przy podanym nazwisku dopisywali ilość osób towarzyszących. W poniedziałek wyjechało wielu Polaków w nieznane, na dalszą tułaczkę. Jadąc w stronę Uściługa, dostrzegaliśmy, że od strony północnej trwała walka żołnierzy AK z Niemcami i Ukraińcami, stacjonującymi w Uściługu w szkole. Odgłosy strzałów wzmagaly się. Szczęśliwie pod wieczór dotarliśmy do Rogalina, gdzie zostaliśmy przyjęci na nocleg przez rodzinę Katów, mimo że ich było kilka osób w domu, a wśród nich wdowa z dzieckiem z Włodzimierza oraz my i jeszcze dwie rodziny, łącznie 9 osób. W tym czasie nastąpiły mroźne dni i w Rogalinie przebywaliśmy ponad tydzień. U tych ludzi doznaliśmy tyle życzliwości i dobroci, że do dziś ich wspominam z wdzięcznością. Około 20 lutego wyjechaliliśmy w stronę Hrubieszowa, gdyż pogoda się poprawiła i nastąpiło ocieplenie. W drodze, we wsi Husynne, tuż przy magazynie stał patrol nie-

mieckiej żandarmerii polowej i skierował nasze wozy na drogę polną w stronę Moroczyna. Po śniegu i grudzie wozami pod wieczór dotarliśmy do wsi Dziekanów. Tam spotkalіśmy patrolе policji ukraińskiej z posterunku w Moniatyczach, które bardzo wrogo potraktowały Polaków (jeden z Ukraińców nawet groził przybyszom pistoletem). A gdy nas zwolnili, po przenocowaniu udaliśmy się rano do Hrubieszowa, gdzie zamieszkaliśmy u Cybulskich na ulicy Zamojskiej. On był nauczycielem muzyki, a jego dorosła córka pracowała w Polskim Czerwonym Krzyżu i przynosiła nam chleb i marmoladę. W latach okupacji niemieckiej były to podstawowe artykuły spożywcze.

Po kilku dniach wyruszyliśmy w stronę Chełma i nocowaliśmy w Białopolu u popa, który w 1939 r. wyjechał z naszej wsi i był w parafii Białopole. Znał on mojego ojca i dziadka. Był to dobry człowiek. Tak wędrując przez Chełm i Krasnystaw, doczekaliśmy wkroczenia Armii Czerwonej w lipcu 1944 r.

Dalsze nasze losy, jak wszystkich po wojnie wygnańców, były bardzo różne, najczęściej trudne, pełne wyrzeczeń i nie spełnionych oczekiwań na czas powrotu do stron rodzinnych, do pięknej i bogatej ziemi wołyńskiej, której nigdy nie przestaliśmy kochać.

Do moich wspomnień z lat tragicznego dzieciństwa dołączyłem niepełną listę Polaków zamordowanych przez bandy ukraińskich zbrodniarzy w sierpniu 1943 r. w Kolonii Berezowicze należącej do gminy Mikulicze w powiecie Włodzimierz Wołyński.

1. Arszal Marianna - lat 31
2. Chaber Rozalia (teściowa Weroniki) - lat 78
3. Chaber Weronika - lat 33
4. Chaber Irena (córka Weroniki) - lat 11
5. Chaber Helena (córka Weroniki) - lat 3
6. Głowik Anna - lat 30
7. Głowik Adam (syn Anny) - lat 6
8. Głowik Zofia (córka Anny) - lat 4
9. Głowik Barbara (córka Anny) - lat 2
10. Giergielewicz - lat 68
11. Łapaj Jan - lat 76
12. Rzepicha (teść Jana Sadłowskiego) - lat 64

13. Rzepicha (żona)	- lat 60
14. Rynkiewicz Marian (mąż)	- lat 74
15. Rynkiewicz (żona Mariana)	- lat 68
16. Sadłowski Jan (mąż)	- lat 32
17. Sadłowska Pietra (żona Jana)	- lat 30
18. Sadłowski Roman (syn)	- lat 6
19. Sadłowski (syn)	- lat 3
20. Sadłowska (córka)	- lat 2
21. Strugała (matka)	- lat 66
22. Strugała Hanna (córka)	- lat 34
23. Studziński	- lat 70
24. Winiarska	- lat 65

* * *

Pan Józef Garbacz, autor powyższych wspomnień, po ucieczce z rodzicami w lutym 1944 r. z Wołynia dotarł po wielu perypetiach na Ziemię Chełmską, gdzie po kilku miesiącach zastało go wkroczenie na te tereny Armii Czerwonej. Następnie udał się do Starej Wsi w gminie Bychawa. W 1947 r. przeniósł się na Pomorze Zachodnie, do miejscowości Tarnówek w pow. Złotów, gdzie otrzymał pracę jako niewykwalifikowany robotnik fabryczny. Po roku zatrudnienia powrócił na tereny nadbużańskie, leżące najbliżej ukochanego Wołynia, i zamieszkał we wsi Czerniczyn w pow. hrubieszowskim, która wcześniej padła ofiarą zbrodni ukraińskich. Rok później został powołany do czynnej służby wojskowej, którą pełnił do 1955 r., a więc przez osiem lat. Będąc żołnierzem Wojska Polskiego ukończył szkołę oficerską w Poznaniu i uzupełnił wykształcenie średnie. Po rozstaniu się z wojskiem, w 1956 r. ponownie zamieszkał we wsi Czerniczyn.

W latach 1960-1965 studiował w Akademii Rolniczej w Lublinie. Następnie pracował w przedsiębiorstwach związanych z rolnictwem. W 1993 r. przeszedł na emeryturę. Od wielu lat mieszka w nadgranicznym Hrubieszowie w mieście wyjątkowo urokliwym.

Wspomnienia Pana Józefa Garbacza są cennym uzupełnieniem wiedzy o strasznej tragedii Polaków na Wołyniu, której głównymi sprawcami byli Ukraińcy, opętani szatańską nienawiścią do innych

nacji, a jednocześnie pozbawieni ludzkich uczuć i Bożej bojaźni. Masowe mordy ludności polskiej, w tym kobiet, dzieci i starców, połączone z zadawaniem straszliwych tortur i makabrycznych okaleczeń, a także barbarzyńskim niszczeniem mienia ludzi zgładzonych przez wzniesienie pożarów domostw i całych wiosek, były zjawiskiem powszechnym i codziennym w latach 1943-1944.

Trudno jest wytłumaczyć ten wstrząsający objaw ludzkiej żądzy krwi, cierpienia, rozpacz i śmierci, będący powszechnym zjawiskiem wśród Ukraińców wspieranych nie tylko przez rodzinnych zwolenników ideologii szowinistycznej, ale również przez prawosławnych duchownych, którzy odegrali wyjątkowo haniebną, antychrześcijańską rolę podczas akcji totalnej zagłady niewinnych i bezbronnych Polaków.

Zenon Wira

* * *

Maja Narbutt

PAMIĘĆ I ZAPOMNIENIE

To był straszny krzyk. Nikt nie chce umierać. A tam wszyscy wiedzieli, że za chwilę zginą. Płacz i modlitwy szły aż do nieba – mówi Władimir Szafran. Patrzy nieruchomo w dal, jakby wciąż słyszał ten krzyk sprzed sześćdziesięciu lat. W oddalonej o 20 kilometrów od granicy z Polską ukraińskiej wsi Sokół żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają zagładę sąsiadujących z nimi Ostrówek i Woli Ostrowieckiej. Jednak mówić o tym chce tylko jeden człowiek.

Kiedy spogląda się na przecinającą Sokół piaszczystą drogę, po której czasem przejeżdża drabiniasty wóz i wzniesając kurz bosymi stopami, idą ubrane w długie spódnice kobiety, można pomyśleć, że czas się zatrzymał. Wiejskim obyczajem na wąskich ławeczkach ustawionych przed chałupami odpoczywają po gospodarskich zajęciach ludzie. Obok siedemdziesięcioletniego Władimira Szafrana usiadły dwie stare kobiety. Co ty opowiadasz? Co mogłeś usłyszeć? Niczego nie słyszałeś – mówi z gniewem jedna z nich. Ale on się

upiera – Pasłem krowy i na ziemie Mazurów poszedłem. Słyszałem te kobiety i dzieci.

Ja tam krów nie pasłam. Więc nie wiem, czy tam się coś stało, czy nie – z dezaprobatą zaciska usta Marta Hapicz. Tak jak Szafran miała w sierpniu 1943 roku kilkanaście lat. Nie jest możliwe, by nie wiedziała, co zdarzyło się za miedzą pól otaczających jej wieś. Uparcie jednak powtarza, że nie wie. I że nie wiadomo, czy tam w ogóle jacyś ludzie zginęli. A jeżeli tak, to nie trzeba o tym mówić, bo to im życia nie wróci.

Rozmawiając z mieszkańcami Sokola, ma się wrażenie, że ulegli zbiorowej amnezji. Sąsiadujące z nimi wsie zostały starte z powierzchni ziemi, w ciągu kilku godzin wymordowano w nich około tysiąca Polaków. W Sokole nie chce się o tym pamiętać. I tylko niekiedy w długiej rozmowie, ludziom wymykają się zdania, z których – jak z kawałków mozaiki – można poskładać obraz tego, co zdarzyło się w dwóch polskich wsiach.

Hakami ciągnięto ciała leżących koło lasu ludzi do rowu. Minęło już kilka dni, trzeba było sąsiadów pochować – mówi nieoczekiwanie jedna z Ukrainek. Ktoś inny napomyka, że kiedy baby z Sokola poszły do Woli Ostrowieckiej i Ostrówek po szmaty i inny dobytek, to już nie wróciły. Bo banderowcy odeszli, a na zgłiszczą przychodzili uzbrojeni polscy chłopacy, którzy mścili się za wymordowane rodziny.

Trudno rozmawia się w Sokole. Rozmowa rwie się, gdy podchodzi ktoś trzeci. Nikt nie chce wspominać wydarzeń sprzed sześćdziesięciu lat. I tylko Władimir Szafran który jako trzynastoletni chłopiec poszedł pod las i słyszał śmiertelny krzyk trzystu kobiet i dzieci mówi – Należy im się pamięć.

I dodaje, akcentując każde słowo. – To była zagłada. Unicestwienie narodu.

Gipsowa Madonna stojąc na skraju pola, wyciąga ręce bez dłoni. To wszystko, co pozostało z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej. Jest jeszcze cmentarz, zarosły gąszczem krzewów i drzew, gdzie tylko niewielkie wzniesienia świadczą o tym, że były tu groby. Niektóre z nich, najwyraźniej nie tak dawno, ktoś rozkopał i splądrował.

Tak naprawdę cmentarzem jest cały teren, na którym rozciągały się dwie duże polskie wsie. Dziś panuje tu martwy spokój. Nawet ci-sza jest jakby nieruchoma, w gęstych zaroślach, gdzie stoi drewniany krzyż, nie śpiewa żaden ptak. Krzyży jest kilka, ale mogłoby być znacznie więcej, bo przecież ludzie ginęli nie tylko w miejscach masowych mordów, ale i przy swych obejściach, gdy próbowali uciekać lub gdy odnaleźli ich kryjówkę plądrujący wieś ukraińscy chłopci.

Jeden z krzyży stoi tuż pod lasem. To Trupie Pole, tak je dziś się nazywa, bo gdzieś tam pod murawą leżą kości trzystu kobiet i dzieci. Las podszedł już pod pola i nikt z miejscowych nie potrafi, a może i nie chce wskazać miejsce, gdzie zginęły.

Kiedy w 1990 roku po raz pierwszy po latach przyjechali tu dawni mieszkańcy Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, nie poznali rodzinnych miejsc. Wyszli z autokaru, popatrzyli na pustkę, która rozciąga się tam, gdzie były ich domy. Z okolicznych pól zaczęli iść w ich kierunku chłopci. W odruchu, który jest wspólny wszystkim ocalałym Polakom z Wołynia, chcieli uciekać. Jednak opanowali panikę. Sta-nęli twarzą w twarz ze swymi dawnymi sąsiadami. Zaczęli krzyczeć: - Mordowaliście nas, spaliliście nasze domy, rozgrabiliście dobytek!

Tak, tak było. Uciekaliście w jednej koszuli. Ale teraz żyjecie jak dziedziczka Konczewska przed wojną. A my? Popatrzcie na nas.

W Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej nie wierzono, że Ukraińcy mogą na nas napaść. Przecież zawsze żyliśmy z nimi w zgodzie. O tym, co już się stało w innych powiatach Wołynia, nie mieliśmy po-jęcia. A jednak czuło się jakieś napięcie. Ludzie mówili, że mają brzydkie sny – mówi Tomasz Trusiuk, który przeżył masakrę jako trzynastoletni chłopiec.

Koniec upalnego sierpnia 1943 roku był tu niespokojny. Powta-rzano, że w cerkwi w Połapach pop święci siekiery i noże na „prze-klętych Lachów”. Na drodze prowadzącej do Sokoła widziano dzie-siątki wozów z uzbrojonymi mężczyznami. Zagłada przyszła nad ra-nem 30 sierpnia. Sąsiadujące ze sobą dwie polskie wsie zostały oto-czone, rozległy się strzały. Pojawili się Ukraińcy uzbrojeni w pistole-ty, siekiery i kołki.

Wchodzili do obejść. Pytali, dlaczego się boimy. Przecież są ta-kimi samymi ludźmi jak my. Mówiliśmy sobie: tyle było strachu, a

wszystko jest tak dobrze, tak grzecznie – wspomina mająca wówczas dwadzieścia lat Helena Popek.

W obu wsiach masowe morderstwo odbyło się zgodnie z precyzyjnie zaplanowanym scenariuszem. Przerażonym Polakom powiedziano, że mają pójść do szkoły na zebranie. Tam mieli się dowiedzieć ważnych rzeczy dotyczących wspólnej walki z Niemcami. Większość uwierzyła. Ci którzy przeżyli, wspominają, jak uspiono ich czujność wyreżyserowanymi gestami – głaskaniem dzieci po główkach, opatrzeniem czyjeś rany postrzałowej. Często więc szli do szkoły dobrowolnie. Tych, którzy się opierali, wyciągano siłą.

Gdy na placu szkolnym i w szkole w Ostrówkach byli już wszyscy, którym nie udało się ukryć, oddzielono mężczyzn od kobiet i dzieci, które popędzono do kościoła. Ludzie uspokajali się wzajemnie, powstrzymywali przed paniką. Do szkoły w Woli Ostrowieckiej także spędzono ludzi. Gdy ukraiński komendant z patosem opowiadał, jak Polacy i Ukraińcy razem będą walczyć z niemieckim okupantem, w pobliskich zabudowaniach kopano już groby.

Po pewnym czasie z obu szkół zaczęto wyprowadzać małe grupki mężczyzn, mówiąc im, że idą na badania lekarskie. Zaczęła się rzeź.

Zamknięto oka, drzwi na ganek, wszystkie wejścia. Trudno już było się ludzić. Ludzie płakali i modlili się na kolanach – mówi Tomasz Trusiuk, który przetrwał ukryty na strychu szkoły w Ostrówkach. Po latach udało mu się precyzyjnie zrekonstruować, jak ginęli jego bliscy. Mordowano ich siekierami i młotem używanym w rzeźni. Tylko nieliczni zginęli od kuli. Te ustalenia potwierdziła później ekshumacja i opinia eksperta. Tak samo zabijano ludzi w Woli Ostrowieckiej, a gdy wykopane w ziemi jamy były już pełne, Ukraińcy obłożyli szkołę słomą, oblali benzyną i podpalili. Do środka rzucono granaty. Zginęło około dwustu ludzi, część z nich spłonęła żywcem.

Potem z kościoła zaczęto wypędzać kobiety i dzieci. Gdy nas wyprowadzano, śpiewaliśmy „Pod twoją obronę”. Niektóre kobiety błagały, by oszczędzono chociaż dzieci – wspomina Aleksander Pradun. We wsi rozległy się strzały – od strony Równego nadjechali Niemcy, prawdopodobnie namówieni przez znajdujących się w oddziałach Wehrmachtu Ślązaków. Ukraińcy kryjąc się za kolumną ludzi, zaczę-

li zmuszać idących do pośpiechu, a tych, którzy nie wytrzymywali tempa, zabijali na miejscu. Gdy kobiety i dzieci zapędzono pod las przy wsi Sokół, kazano wszystkim położyć się na ściernisku. Odrywano od grupy po kilka osób i zabijano pchnięciami bagnietów i strzałami z pistoletów. Wśród morderców ofiary, rozpoznawały znajomych z ukraińskich pobliskich wsi.

Kiedy Aleksander Pradun zrozumiał, że zaraz umrze, poczuł wielki smutek. Pomyślał, że ma dopiero 13 lat. Pożegnał się z mamą i krewnymi. Zapędzeni na pole pod Sokołem do ostatniego momentu trzymali się razem, chcąc żyć choć parę minut dłużej.

Dzisiaj cudem ocalony z rzezi Pradun mieszka po polskiej stronie Bugu, w oddalonej zaledwie kilka kilometrów od granicy Michałowce. Wysoki, zwalisty chłop opowiada o wydarzeniach w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej bez emocji. A jednak i jemu załamuje się głos, gdy mówi, jak zginęła matka. I po tylu latach pamięta widok sześciolatniej dziewczynki, która poderwała się po serii strzałów i zaczęła biec w kierunku nieżywej już matki. Upowiec strzelił do niej kilka razy, padła, lecz ciągle podnosiła się z okrzykiem „mamo”, aż wreszcie Ukrainiec dobił ją kolbą karabinu.

Tomasz Trusiuk także może mówić o masakrze z pozoru bezamiętnie. Już od lat pięćdziesiątych zaczął przyjeżdżać na Ukrainę, pochodzi przecież z mieszanego małżeństwa i ma ukraińskich krewnych. Starał się dowiedzieć jak najwięcej o tym, co wydarzyło się na Wołyniu w 1943 roku. Rozmawiał z Żydami, którym udało się przeżyć tu holokaust. Pierwszy trening w zabijaniu Ukraińcy odbyli właśnie na Żydach. Przekonali się, że mord jest nie tylko bezkarny, ale i popłatny. Można zabić człowieka i zagarnąć jego majątek.

Kiedy prawie sześćdziesiąt jeden lat temu, po odejściu banderowców, zszedł ze strychu szkoły w Ostrówkach, skierował się do gospodarstwa swego krewnego. Najpierw zobaczył białego na sztachety kolegę. Potem znalazł ojca. Z odrąbanymi nogami i rękami. Po paru dniach dowiedział się, że zabił go znajomy, dawny sąsiad, obok którego kiedyś mieszkali w ukraińskiej wsi Równe. – Razem handlowali wieprzakami, razem pili wódkę i kradli drzewo z lasu.

Rozmawiamy w mieszkaniu Trusiuka w Lublinie, ale jego pozorny spokój pryska, gdy pytam, czy wydarzenia sprzed lat nie powracają czasem we snach. Zdejmuje okulary i długo je przeciera.

Ja ciągle jestem na wojnie. Uciekam, padam, gonią mnie.

Krzyczy przez sen także ponad osiemdziesięcioletnia dziś Helena Popek. A kiedy nie może zasnąć, wspomina po kolei tych, którzy kiedyś mieszkali w jej rodzinnej wsi.

Było sto siedemdziesiąt numerów, to tak liczę sobie, ilu ludzi w naszych Ostrówkach żyło. I ile rodzin zostało wybitych tak, że nie ocalał z nich nikt.

To co się wtedy zdarzyło trwa w pamięci ocalonych z rzezi. Z fotograficzną precyzją wyrły się w niej obrazy i słowa. Dawni mieszkańcy Woli Ostrowieckiej i Ostrówek pamiętają rzeczy porażające swym okrucieństwem i zupełnie błahe. Śmierć najbliższych, dobijanie rannych, ludzi w konwulsjach, krew wypływającą z płytkich mogił. I elegancką uprzęż bułanego konia, na którym jechał oficer UPA.

Pamiętają ostatnie słowa swych rodziców i znajomych, przywołują zdania: „może Matka Boska nakryje nas swym płaszczem”, „żeby zabił od razu, a nie ranił”. Cytują po ukraińsku drwiny morderców, wspominają ich śmiech. Pamiętają paraliżujący lęk, czepianie się życia lub dziwne otępienie i rezygnację. Przed oczami przewija im się film – prawdziwy, lecz zbyt drastyczny, by ktoś zechciał go nakręcić.

Trwa też wspomnienie Woli Ostrowieckiej i Ostrówek – istniejących od XV wieku wsi z brukowaną ulicą, drewnianym kościołem. W pamięci żyją też ludzie, którzy tam mieszkali, ich nazwiska i przydomki. Niepamięci sąsiadów z ukraińskich wiosek dawni mieszkańcy Woli Ostrowieckiej i Ostrówek przeciwstawili pamięć absolutną. Ze zdjęć, kiedyś podniesionych z pogorzeliisk i przechowywanych jak relikwie, patrzą całe rodziny, odświeżenie ubrani rodzice otoczeni gromadką dzieci, babcie z dumą piastujące pulchne niemowlęta. Uwieczniono też ważne wydarzenia z życia wsi, święta, kiedy bawiono się wspólnie z ukraińskimi sąsiadami. Na fotografii z wycieczki do Gdyni jest jeden z nich – Alosza Basiuk z Sokola, zwany później „mordercą Polaków”.

Gdy rozmawiam z mieszkańcami Sokoła, pytam ich właśnie o niego. – Po wojnie był kierownikiem radiowęzła w Łucku. Szukał swojej żony, ale przepadła bez śladu. Była Polką. Wanda miała na imię, ładna kobieta, z długim warkoczem, w szkole uczyła. W 1943 roku wzięła dzieci i tak po kryjomu wyjechała. I czemuż wyjechała, męża zostawiła?

Ja nic nie wiem, co się działo w czasie wojny, miałam wtedy siedem lat – broni się starsza kobieta, spotkana na drodze we wsi Borowoje, dawniej Przekurka. Z pomocą przychodzi jej sąsiadka, potężnie zbudowana bosa baba. – Strasznie było. Co tu Polacy wyrabiali! Palili chałupy, do ziemianek musieli ludzie uciekać. – Nagle patrzy na mnie badawczo: - A wy Polka, tak? Wszystko jasne ... Polka, - Na moment milknie, lecz po chwili z impetem zaczyna na nowo: - Wasi zaczęli pierwsi. Banderowcy byli na swojej ziemi. Walczyli w obronie narodu.

Starsza kobieta nieśmiało protestuje” – Polacy nie zaczęli.

Młodsza kobieta napiera na nią swym ciężarem, głośno wymyśla. Krzyczy też na mnie. – Nie rozgrzebujcie tego, co było. Nie wracajcie. Bo znowu na siebie pójdziemy. Powiedźcie to w Polsce.

Iwan Kowalczyk, starszy mężczyzna, który przystanął na chwilę, przysłuchując się rozmowie, próbuje łagodzić – Nie, nie pójdziemy na siebie. Chyba żeby była wojna.

Wszystkiemu winna była wojna. I Niemcy – bo dali broń ukraińskim policjantom, a ci poszli z nią do UPA. A potem Niemcy dali broń Polakom. I napuścili Ukraińców i Polaków na siebie. Tak mówi się dziś w ukraińskich wsiach. Przekurce, Sokole, Równem. Jeśli już chce się o tym cokolwiek mówić.

Bezpiecznym tematem jest za to wspomnianie tego, co było przed wojną. – Zgodnie żyliśmy – mówią ludzie, którzy nie pamiętają nic z tego, co stało się potem, bo przecież byli za mali, za młodzi. Ale mogą za to opowiedzieć jak jeździło się do młyna w Woli Ostrowieckiej, jak wspólnie z polskimi kolegami paśli krowy, pamiętają ich imiona, wspominają jak razem bawili się na weselach i wieczorach. Dobrze było, powtarzają, i lekki cień uśmiechu pojawia się na ich twarzach.

Jest też inny temat, który sprawia, że łagodnieją i najbardziej zacięci. W każdej z ukraińskich wiosek otaczających wymordowane polskie miejscowości był ktoś, kto pomagał Polakom. Schował dzieci, które w panice przybiegły do jego obejścia. Wywiózł znajomych do miasteczka, gdzie stacjonował niemiecki garnizon. Dlatego też we wsi Borowoje, gdy zalewa mnie potok gniewnych pretensji, mówię, że słyszałam o mieszkającym tu człowieku, który przechowywał Polaków. I natychmiast krzycząca kobieta traci impet. – Tam, w tej chałupie, mieszka Siergiej Stepanowicz. Idźcie do niego koniecznie.

Kiedy dziewięćdziesięcioletni Siergiej Zieliński dowiaduje się, że przyjechalśmy z Polski, zaczyna deklamować. Wiersz o polskim orle, który będzie bronił granic od złych sąsiadów, zachował się w jego pamięci od czwartej klasy przedwojennej szkoły powszechnej. – Sam inspektor z powiatu chciał, bym się dalej uczył, na koszt państwa – mówi z dumą. – Ale ojciec powiedział, że jak się będę uczyć, to kto będzie krowy paść.

Gdy zaczęła się masakra w polskich wsiach, do jego obejścia przybiegła Helena Kowalik z dziećmi. Przez kilka dni przechowywał ich w swej chałupie, a potem, by nieszczerścia na dom nie sprowadzić, postanowił odprowadzić ich do teściów. Gdy był już z nimi na obrzeżach wsi, do chałupy przyszedł mąż, który od tygodni pracował jako cieśla w innych wsiach. – Zaczął krzyczeć „Gdzie ich pochowaliście?” Babka go uspokajała: „Bolek, oni żyją”, ale uwierzył dopiero, gdy ktoś przyprowadził ich z powrotem do chałupy – wspomina Siergiej Zieliński. Patrząc niemal niewidzącymi oczami, dodaje, - A jak było naprawdę? Wy mówicie, że to Ukraińcy mordowali Polaków. A jak przyjeżdżają nasi korespondenci, to mówią, że Polacy wszystko zaczęli.

Nie ma woli politycznej, by upamiętnić pomordowanych na Wołyniu. Ich kości, płytko zakopane w jamach, wypłukane przez deszcz, czasem bieleją w miejscach, gdzie kiedyś były wsie. Nie można jednak robić ekshumacji. Bo ekshumacja jest twardym dowodem, że mordów dokonano. A historycy i władze ukraińskie nie chcą takich dowodów. Nie można też dostać pozwolenia na choćby symboliczne mogiły czy krzyże – mówi Leon Popek z lubelskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej.

Dzisiaj nie byłoby już szans na to, co stało się w 1992 roku, kiedy wraz z grupą dawnych mieszkańców Woli Ostrowieckiej i Ostrówek doprowadził do ekshumacji dwóch zbiorowych mogił. W jednej z nich znalazł drewniany krzyżyk należący kiedyś do dziadka. Leon Popek jest synem Heleny Popek – tej, co krzyczy przez sen, a w bezsenne noce wspomina sąsiadów. Niemal od zawsze wiedział, że będzie historykiem, choć kiedy zaczynał studiować w latach siedemdziesiątych, mogło się wydawać, że prawda o mordowaniu Polaków na Wołyniu nie ujrzy światła dziennego. Jednak już wtedy zaczął zbierać relacje tych, co ocalili.

Niektórzy bali się mówić. Inni nie byli w stanie. Przekonywałem wtedy: po to przeżyliście, by dać świadectwo.

Dokumentowanie zbrodni na Wołyniu było trudne. - Ukraińcy mordowali tak, by nie zostawić świadków. Zdarzało się, że z całej wsi ocalał tylko jeden człowiek. Zapisywanie relacji było wyścigiem z czasem. Gdy ktoś umierał, zabierał do grobu tajemnicę losów wielu ludzi. Ocaleni z wołyńskiej rzezi milczeli przez lata, przekazując wiedzę o tragicznych wydarzeniach tylko najbliższym. Czasem i oni nie byli w stanie uwierzyć.

Aleksander Pradun, dawny mieszkaniec Ostrówek, historię dwóch polskich wsi, które przestały istnieć w ciągu kilku godzin, starał się przekazać córce. – A wie pani, że parę lat temu, gdy zaczęto mówić i pisać o tym wszystkim, przysłała do mnie i powiedziała: „Nie wierzyłam ci, bo nic takiego nie uczono nas w szkole. A teraz wiem, że mówiłeś prawdę”.

Rzeczpospolita 184/6867/07.08.2004 r.

* * *

Danuta Frey

POD GROŹBĄ ŚMIERCI CZY DOBROWOLNIE

Kasację w sprawie skazanego za udział w Ukraińskiej Powstańczej Armii wniósł do Izby Karnej Sądu Najwyższego rzecznik praw obywatelskich. Jego zdaniem doszło do rażącego naruszenia prawa,

ponieważ sąd nie wziął pod uwagę, że było to działanie w stanie wyższej konieczności.

W kasacji nie należy natomiast widzieć próby zmierzania do zrehabilitowania w Polsce tej organizacji.

Rzecznik zaskarżył wyrok Wojkowego Sądu Rejonowego w Olsztynie z 1948 r. skazujący Włodzimierza D. na 10 lat więzienia i przepadek majątku za czynny udział w 1946 r. na terenie powiatu Lesko w nielegalnej organizacji UPA. Sąd stwierdził, że jako członek UPA pod pseudonimem Buk był on łącznikiem w oddziale „Szuchaja” i brał udział w kopaniu bunkrów.

W ocenie rzecznika wyrok zapadł z rażącym naruszeniem prawa. Sąd nie rozważył wszystkich okoliczności, a przede wszystkim nie wziął pod uwagę, iż oskarżony działał w stanie wyższej konieczności. Świadkowie zeznali, że do kopania bunkrów w lesie został zmuszony, podobnie jak inne osoby, pod groźbą śmierci. Z wyjaśnień jego samego z postępowania przygotowawczego odczytanych na rozprawie, wynikało, że został co prawda zaprzysiężonym członkiem UPA, a dowódca oddziału „Szuchaj” nadał mu pseudonim Buk, zlecając dostarczanie listów i zakazując informowania władz o istnieniu oddziału i miejscu kopania bunkrów, ale jednocześnie zagroził pozbawieniem życia w razie niewykonania polecenia bądź denuncjacji. Podczas rozprawy Włodzimierz D. powiedział, że wyjaśnienia te zostały na nim wymuszone do UPA nie należał, a do kopania bunkrów został zmuszony przez jego dwóch uzbrojonych członków.

Zważywszy na ujawnione okoliczności, zebrany materiał dowodowy nie mógł prowadzić do wniosku o czynnym i dobrowolnym udziale oskarżonego w nielegalnej organizacji – twierdzi rzecznik.

W kasacji nie należy widzieć próby zmierzania do jakiegokolwiek rehabilitacji UPA – mówi Marek Łukaszuk, dyrektor Zespołu Prawa Karnego w Biurze RPO. Rzecznik kładzie nacisk na okoliczność działania w stanie wyższej konieczności, pod groźbą pozbawienia życia. Nie były to sytuacje odosobnione, a dotyczyły nie tylko Ukraińców, lecz także obywateli polskich różnych narodowości. UPA i inne formacje zbrojne zmuszały groźbami do działań na ich rzecz, np. do przechowywania członków oddziałów czy broni – co stawało się później podstawą skazania. A ponieważ groźby te były bez wąt-

pienia realne, można przyjąć, że było to działanie w stanie wyższej konieczności.

Jednak dopiero Sąd Najwyższy oceni, czy takie okoliczności rzeczywiście tu wystąpiły, i powtórnie zbada, czy Włodzimierz S. przystąpił do UPA dobrowolnie, jak to uznano w wyroku z 1948 r., czy pod groźbą śmierci. Należy wskazać, że art. 26 §1 obecnego kodeksu karnego, stanowiący odpowiednik art. 20 §1 kodeksu karnego Wojska Polskiego, znosi bezprawność czynu popełnionego w stanie wyższej konieczności.

Ukraińska powstańcza armia (UPA). Nacjonalistyczna formacja zbrojna, odpowiedzialna m.in. za rzezie polskiej ludności na Wołyniu, podczas których ofiarą mordów padło 100 tys. Polaków. Po wojnie rozbita w Polsce w wyniku operacji „Wisła” w 1947 r. podczas której wysiedlono ok. 140 tys. Ukraińców i Łemków. Uważana przez wielu Ukraińców za ruch oporu, przez Polaków za formację zbrodniczą.

Rzeczpospolita 226/6909/25-/26 września 2004 r.

* * *

Antoni Mariański

PIELGRZYMKA NA WOŁYŃ

28-29 października 2004 rok

Tradycją już jest urządzenie pielgrzymek na miejsca wiecznego spoczynku Polaków, którzy umarli na Wołyniu w naturalny sposób i którzy zostali zamordowani przez nacjonalistów ukraińskich za to tylko, że byli Polakami. Nie sposób jest uczcić pamięć wszystkich. Większość nieżyjących nie ma swoich grobów na poświęconych miejscach. Pielgrzymka, w której miałem zaszczyt uczestniczyć ograniczyła swój zakres tylko do kilku miejscowości. Był to emmentarz w Zasmykach, Turzysku, Porycku, Kisielinie i częściowo tylko w Kowlu.

Dzień pierwszy. Miłym akcentem rozpoczęła się pielgrzymka. W Uściługu odprawa graniczna jest wspólna. Ogranicza to znakomicie czas oczekiwania na przekroczenie granicy. Godzina postoju to niewiele w porównaniu do poprzednich czasów.

We Włodzimierzku Wołyńskim na pielgrzymów oczekiwał ks. Kanonik Andrzej Puzon z Hrubieszowa. Po krótkim powitaniu ks.

Kanonik poprowadził pielgrzymkę do Porycka (Pawliwki), gdzie w 2003 roku uroczyste z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy poświęcono miejsce zamordowanych w tamtejszym kościele Polaków. Niewiele, a może bardzo wiele zmieniło się na tym miejscu. Na krzyżu usunięto z inskrypcji jedno słowo: „zamordowani”. Tekst ten dla przeciętnego – nie znającego historii nie tylko Porycka, ale całych Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej jest dzisiaj nie zrozumiały. Po prostu wyrwane z kontekstu kilka nieznanych słów. Natomiast dla osób znających tragizm tamtej ziemi jest aż nadto wymowny. Mówi on nie tylko o czasie przeszłym, ale świadczy o istniejącym i dzisiaj nacjonalizmie na tamtejszym terenie.

Chwila zadumy. Ciche rozmowy. Złożenie kwiatów i krótka modlitwa zakończyły wizytę na świętym, dla nas Polaków, miejscu.

We Włodzimierzu Wołyńskim w tamtejszym kościele katolickim przygotowano nam smaczny posiłek. Miło i grzecznie można było przez chwilę odetchnąć by wyruszyć na inne miejsce takiej samej tragedii jak w Porycku. Nawet tego samego dnia i o tej samej godzinie. Napad na bezbronnych wiernych, zgromadzonych na uroczystej Mszy Świętej w kościele kisielińskim.

Szkielet murów kościoła i na wierzchołkach ścian rosnące drzewa świadczą i o tragedii i o późniejszej dewastacji świętego miejsca. Sklepienia piwnic załamane. Nawet niebezpiecznie jest się poruszać. Na placu obok szkieletu kościoła tablica z napisem w języku ukraińskim: *„Tut pochowani gromadiany polskiej nacjonalności jaki tragiczno zaginuli 11 lypnia 1943 roku”*.

Jednak i w takim rumowisku odnaleziono statwę – pomnik świętego Antoniego z Padwy z Dzieciątkiem Jezus. Figura w dobrym stanie. Brak jest tylko głowy rzeźby św. Antoniego. Jest jednak nadzieja, że i to się znajdzie gdzieś w piwnicy. Jakiś dobry człowiek zrobił zadaszenie z namiotu nad statwą, by deszcz nie niszczył pomnika. Rzeźba oczekuje teraz transportu by przewieźć ją do Równego, gdzie znajdzie swoje poczesne miejsce w tamtejszym muzeum. Oczywiście po uprzedniej renowacji pomnika. Do przewiezienia potrzebny jest prócz samochodu i dźwig. Statua bowiem waży około trzysta kilogramów.

Spotkani mieszkańcy Kisielina życzliwie są nastawieni do Polski i Polaków. Smutne wrażenie sprawiają dzieci przybiegające do polskiego autokaru. Mówią po polsku i po ukraińsku „dzień dobry” oczekując cukierków czy ciastek. Dzieci brudne i obdarte. Trochę to przypomina czasy, kiedy to polskie dzieci podbiegały do niemieckich autokarów.

Dzień drugi. Kowel. Na zapalenie świeczki i na modlitwę nad grobami poległych żołnierzy za ojczyznę zabrakło czasu. Niestety, komercja zabrała cenne chwile. Na odwiedzenie grobów swoich bliskich i żołnierzy poległych w obronie ojczyzny przydzielono tylko 15 minut. Słownie piętnaście minut. Śpieszyliśmy się. Przed nami były Zasmyki i Turzysk.

Zasmyki. Jedna z większych placówek samoobrony. Tutaj życie swoje uratowało kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy ludzi – uciekinierów – z miejscowości, które były ofiarą rzezi nacjonalistów ukraińskich. Jedna z nielicznych wsi gdzie nie padł ani jeden banderowski strzał i to ze względu na silną samoobronę, którą w początkowej fazie dowodził porucznik „Jastrząb” – Władysław Czermiński. Były trzykrotne próby likwidacji Zasmyk. Jedną próbę uderzenia na Zasmyki przypadkowo rozbili Niemcy. Trzy dni trwały walki i skończyły się rozbiciem przez Niemców ugrupowania banderowców. Dwukrotnie wspaniały zmysł organizacyjny por. „Jastrzębia” nie pozwolił bojówkom banderowskim dotrzeć do Zasmyk. W Zasmykach również był załazek 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Tutaj spoczywają zwłoki około stu żołnierzy poległych w obronie cywilnej ludności polskiej – nie tylko zresztą – w Zasmykach. Cmentarz utula w swojej ojczystej ziemi ponad sto zamordowanych Polaków i wiele ciał zmarłych naturalną śmiercią.

Opiekę nad cmentarzem sprawuje niezastąpiony ojciec Zygmunt Majcher – proboszcz parafii kowelskiej. Na miejscu zburzonego przez Sowieców kościoła zasmyckiego stoi piękna murowana kaplica – dzieło starań ś.p. Leona Karłowicza, urodzonego w Zasmykach. Pomnik niezapomnianego Zasmycczanina.

Pielgrzymi zapalili świeczki na grobach swoich bliskich i grobach żołnierzy pełniących swoją wieczną wartość na ojczystej ziemi.

Również pod tablica pamiątkową wbudowaną w miejscu byłego kościoła zapłonęły znicze. Chwila zadumy. Ostatnie spojrzenie na bliską wszystkim pielgrzymom okolicę i odjazd do Turzyska.

Turzysk. Jedno ze starszych miasteczek na Wołyniu. Pierwsze wzmianki o Turzysku pojawiły się już w XII wieku. Małe miasteczko z pięknym kościołem pod wezwaniem świętego Antoniego z Padwy. To było przed drugą wojną światową. Dzisiaj w miejscu zburzonego kościoła jest skwerek z jakimś dziwnym pomniczkiem. Samo miasteczko wygląda jakby czas w nim się cofnął. Cmentarz oddalony o kilometr czy dwa od miasta, na wzgórzu to duża kępa krzewów, przez którą bez maczety przejść się nie da. Jedynie wycięto kawałek buszu by zrobić płytę, ogrodzić ją, a na płycie postawić krzyż z tabliczką informującą, że jest tutaj święte miejsce. Mimo buszu, a może właśnie dlatego uchowały się w całości niektóre nagrobki. Jednym z takich nagrobków jest pomnik Zofii Cias z Wierzbiczna, która żyła zaledwie dwa miesiące (zmarła w 1928 roku) i Bronisław Cias zmarły w 1935 roku.

Były próby urządzenia na cmentarzu wysypiska śmieci, jednak w wyniku interwencji Polaków zaniechano tego zamiaru. Jeszcze na skrajach od czasu do czasu miejscowi gospodarze wysypują śmieci. Ale może? ...

Zapłonęły znicze. Złożono wiązanki kwiatów. Krótka modlitwa i powrót. Pielgrzymka wstąpiła jeszcze do Kowla na obiad. Późnym wieczorem autokar zatrzymał się przed kościołem św. Krzyża przy ulicy Pogodnej w Lublinie.

Następna pielgrzymka odbędzie się w maju 2005 roku. W programie winny się znaleźć Bielin i okolice, gdzie działała „Osnowa” Zgrupowanie Pułkowe 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Broniła ona zachodniej części Wołynia. „Osnowa” poniosła największe straty. Podczas przeprawy przez Prypeć w ciągu kilku godzin zginęło około 300 żołnierzy. Na temat działań „Osnowy” ukazało się jedyne, prawie monograficzne, opracowanie autorstwa Edmunda Henryka Bakuniaka – żołnierza 27 WDP AK.

Szeregi Kombatanów Wołyńskich wykruszają się. Ilu nas pojedzie do Bielina?...

* * *

Ks. Witold Józef Kowalów
Ostróg, 19 sierpnia 2004 r.

KOMU PRZESZKADZA PLEBANIA W OSTROGU?

W pierwszych dniach wojny niemiecko – sowieckiej, pod koniec czerwca 1941 roku, w wyniku zbombardowania i pożaru uległa całkowitemu zniszczeniu plebania (tzn. dom parafialny) przy kościele parafialnym pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu.

W 1989 roku, po prawie trzydziestoletniej przerwie, nasza parafia została reaktywowana i kościół farny został zwrócony wiernym katolikom. Od 1992 roku miejscowi duszpasterze mieszkają w zastępczym budynku, który Rada Miejska w Ostrogu przekazała nam na własność w zamian za dwa inne budynki, które przed II wojną światową, należały do naszej parafii (obecnie mieszczą się w nich Ostrogska Drukarnia oraz Wydział Finansowy i Towarzystwo Ubezpieczeniowe „Oranta”). Stało się tak za zgodą metropolity lwowskiego abpa Mariana Jaworskiego. Niestety, ów budynek zastępczy znajduje się w pewnej odległości od kościoła, co utrudnia i komplikuje pracę duszpasterską.

Plebania w Kościele Katolickim znajdują się w bezpośrednim sąsiedztwie świątyń. Kapłan powinien być dostępny dla wiernych w ciągu całego dnia, a nie tylko 1 czy 2 godziny. Poza tym plebania przy kościele wpłynie na zwiększenie bezpieczeństwa naszego kościoła. W pamięci mamy jak w 2000 roku nasz kościół został okradziony.

Plebania jest konieczna także dla rozpoczęcia remontu kopuły i dachu naszego kościoła. Jak strasznie zacieka dach wszyscy wiemy. Ja czy ks. Waldemar mamy gdzie mieszkać, ale odbudowa plebani jest bardzo ważna dla przyszłości naszej parafii. Po ponad dwuletnich staraniach u różnych instancji i wyrobieniu odpowiedniej dokumentacji w dniu 29 kwietnia 2002 r. Rada Miejska w Ostrogu udzieliła nam zgodę na odbudowę plebani przy kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu. Zezwolenie na wykonanie prac budowlanych otrzymaliśmy dopiero 28 sierpnia

- Dlaczego kilkanaście służb w Ostrogu, w Kijowie, Lwowie i Równem, odniosło się do naszej inicjatywy odbudowy plebani w Ostrogu pozytywnie, a jedynie dyrektor Ostrogskiego Rezerwatu p. Serhij Kybkało nam przeszkadza? (Może dlatego, że ów Rezerwat do dziś nie oddał nam rzeźb z naszego kościoła, autorstwa polskiego rzeźbiarza Tomasza Oskara Sosnowskiego, które p. Czosnowska ofiarowała dla naszej świątyni ...?!).

Napięcie wywołane przyjazdem telewizji z kanału „Rivne-1” zmniejszyło się, kiedy p. archeolog z Równego została przeze mnie zaproszona do domu parafialnego. Tam pokazaliśmy jej całą dokumentację, jaką ona chciała zobaczyć. W piątek, 13 sierpnia 2004 r., otrzymaliśmy z Państwowej Inspekcji Kontroli Architektoniczno - Budowlanej przy Radzie Miejskiej w Ostrogu nakaz wstrzymania prac cyklu zerowego przy odbudowie plebani w Ostrogu. Nasza odbudowa trwała ledwo dwa dni. Stało się tak, mimo że architekt miejski, jeszcze w ubiegłym roku - 18 września 2003 roku - wyraziła zgodę na przeprowadzenie prac ziemnych w celu wykonania wykopu pod fundament odbudowywanej plebani. Po otrzymaniu w/w nakazu prace ziemne zostały wstrzymane. Tego samego dnia otrzymaliśmy od Muzeum Krajoznawczego w Równem (wydział ochrony dziedzictwa kulturowego) skierowanie do kierownika rówieńskiej filii Archeologicznej Służby Ochronnej Ukrainy p. Bohdana Pryszczepy.

W środę, 18 sierpnia 2004 r. p. Bohdan Pryszczepa, kierownik rówieńskiej filii Archeologicznej Służby Ochronnej Ukrainy, poinformował, że w dniu 25 sierpnia 2004 r. będzie skierowany do Ostroga ich współpracownik w celu przeprowadzenia ekspertyzy archeologicznej działki pod odbudowę plebani.

W tych dniach ostrogscy parafianie plantują ziemię na terenie przykościelnym, gdzie w poprzednich latach zostały częściowo zbudowane alejki wokół kościoła.

Jako proboszcz parafii ostrogskiej z jednej strony muszę studiować oburzenie naszych parafian. Jedna ze starszych babć chciała organizować krucjatę w celu odzyskania rzeźb z naszego kościoła zabranych do muzcum. Z drugiej strony muszę im tłumaczyć, aby nie ulegali zastraszeniu. Wszystko co robimy - czynimy zgodnie z

prawem. Na prace te posiadamy dokumentację, która nb. bardzo nas kosztowała. Także nasz bp Marcján Trofimiak wyraził uznanie, że udało nam się wyrobić dokumentację i uzyskać potrzebne zezwolenia.

Niektórych naszych parafian bardzo boli, że nasi wrogowie zawsze zasłaniają się jakimś prawem. My ten ból rozumiemy i podzielamy go. Na Sybir i do Kazachstanu również zsyłano niby zgodnie z prawem, a później po 50 latach przychodziła rehabilitacja. Niedobrze, że o wielu zbrodniach komunistycznych już zapomniano, a ich sprawców dotąd nie ukarano. Również czerwoni zbrodniarze powinni mieć swój proces norymberski. Nie ukarana zbrodnia demoralizuje i deprawuje.

Najbardziej nas boli, że ciągle nas okradają. W 2004 roku zostaliśmy kolejny raz okradzeni w majestacie prawa ukraińskiego. Otóż miejscowy Rezerwat Historyczno-Kulturalny wyrobił sobie akt własności ziemi przy naszym kościele. W poprzednich latach, gdy wykonywaliśmy ogrodzenie wokół kościoła, odbudowaliśmy kapliczkę nad grobem bpa Franciszka Komornickiego i barokową dzwonnice, ów rezerwat nie dał nam ani kopiejki. Natomiast za naszymi plecami zostały wyrobione dokumenty skierowane przeciwko miejscowym katolikom. Ręce wyciągnięte po własność Bożą i kościelną w Ostrogu może spotkać kara. W pamięci mieszkańców Ostroga jest tragiczny los osoby, która odważyła się ściągnąć krzyż z naszego kościoła ...

Ubolewamy, że nasi sąsiedzi - prawosławna parafia pw. św. Mikołaja, będąca pod jurysdykcją Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Kijowskiego Patriarchatu, nie otrzymała dotąd zezwolenia na odbudowę cerkwi pw. św. Mikołaja. Z dokumentów archiwalnych i historycznych wiemy, że taka cerkiew istniała i wierni prawosławni mają prawo ją odbudować. Żądanie udowodnienia, że taka cerkiew istniała jest niegodne i świadczy o nieznajomości historii naszego miasta. Cieszę się, że wielu naszych parafian podpisało się pod petycją w sprawie odbudowy tej cerkwi - uważam, że jest to właściwa, godna i prawdziwie ekumeniczna postawa. Niech świątynie trzech wyznań chrześcijańskich znajdujące się w centrum naszego miasta będą świadectwem nie tylko wiary naszych przodków, ale także

pięknych czasów odbudowy tego, co siły zła chciały nam wierzącym w Chrystusa zabrać i zniszczyć.

Chcę jeszcze podkreślić, że rozpoczęta rekonstrukcja dawnej plebani to sprawa, która od samego początku jest prowadzona za wiedzą i poparciem naszego ordynariusza J.E.Ks. Bpa Marcjana Trofińskiego. Jestem wdzięczny za moralną pomoc także naszemu dziekanowi ks. kan. Władysławowi Czajce.

Przeszkadzano nam odbudować kapliczkę nad grobem bpa Franciszka Komornickiego oraz dzwonnice - budowle te wysadzone w powietrze w 1961 roku - dziś stoją i cieszą nasze oczy. Swego czasu, przy wydatnej pomocy ówczesnego dziekana łuckiego ks. prał. Ludwika Kamilewskiego, odzyskałem plebanie w Zdobunowie. I dziś tam mieszka i pracuje ks. Andrzej Ścisłowicz, jego wikariusz ks. Jerzy Pohńerybka oraz siostry ze Zgromadzenia Sióstr Św. Teresy od Dzieciątka Jezus (Terezianki). Dzieło odbudowy plebani przy ostrogskim kościele farnym polecamy dziś Matce Bożej, patronce naszej parafii Ufam, iż z Bożą pomocą doprowadzimy to dzieło do końca.

* * *

Feliks Budzisz

Z RODU ANHELLICH O WOŁYŃSKIM POECIE - Zygmuncie Rumlu

Stanisław Pigoń w rozmowie z Kazimierzem Wyką o Krzysztofie Baczyńskim powiedział: „Cóż, należymy do narodu, którego losem jest strzelać z brylantów”. Wiele lat później podobne „skrzydlate słowa” napisał Jarosław Iwaszkiewicz w odniesieniu do Zygmunta Rumla z okazji ukazania się jego zbioru poezji. „Jednym słowem - pisał Iwaszkiewicz - był to jeden z diamentów, którymi strzelano do wroga. Diament ten mógł zabłysnąć pierwszorzędnym blaskiem. To, co pozostało po Rumlu, świadczy o tym dobitnie ... Nazwisko warte zapamiętania, bo oznacza ono niezwyklego młodzień-

ca, prawdziwego poetę - a przy tym umysł i talent noszący cechy wręcz oryginalne”.

Zygmunt Jan Rumel urodził się 22 lutego 1915 roku w Piotrogradzie jako syn Władysława Rumla i Janiny z Tymińskich. Talent poetycki zapewne odziedziczył po matce pisującej pod pseudonimem Liliana. Ojciec, z wykształcenia inżynier rolnictwa, był oficerem Wojska Polskiego. Za udział w kampanii 1920 roku został odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*. Po wojnie osiadł jako osadnik wojskowy na Wołyniu w pobliżu Wiśniowca, w powiecie krzemienieckim. Tam, na wsi wołyńskiej, upłynęły lata dziecinne Zygmunta. Szkołę średnią ukończył w Krzemieńcu - niegdyś słynne Liceum Krzemienieckie, określane mianem *Aten Wołyńskich*. Bogate, szczytne tradycje liceum, wspaniali nauczyciele, wysoki poziom zajęć rozwijały u młodzieży szerokie zainteresowania naukowe, wrażliwość społeczną i silne poczucie więzi koleżeńskiej, a nade wszystko pragnienie służenia społeczeństwu i ojczyźnie. Uczniowie i absolwenci liceum utrzymywali bliskie kontakty ze swoim środowiskiem, z młodzieżą wiejską, zwłaszcza zrzeszoną w Wołyńskim Związku Młodzieży Wiejskiej. Kontakty te umożliwiały licealistom bliższe poznanie regionu i uwrażliwiały na ostre społeczne problemy wsi wołyńskiej.

Podczas nauki w liceum - pisze Anna Kamieńska - Rumel mieszkał na stacji w dworcu należącym niegdyś do rodziny Juliusza Słowackiego. Tu czytał kolegom swoje pierwsze wiersze. Był nie tylko poetą młodzieży krzemienieckiej, cieszył się również uznaniem jako utalentowany i zapalony młodzieżowy działacz, społecznik.

Po złożeniu egzaminów maturalnych w 1935 roku Rumel podjął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Będąc studentem nadal utrzymywał kontakty z młodzieżą wołyńską, zwłaszcza zrzeszoną w Związku Młodzieży Wiejskiej, do którego w dużym stopniu należała młodzież ukraińska.

Dwujęzyczna społeczność wołyńska, współistnienie dwóch kultur, polskiej i ukraińskiej, wzajemnie się przenikających i wzbogacających, wywarły głęboki wpływ na nieprzeciętną, wrażliwą osobowość Rumla i jego twórczość.

Rumel był częstym gościem Uniwersytetu Ludowego w Róźnie, którym przed wojną kierował Kazimierz Banach, działacz ludowy, przewodniczący Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej. Znajomość Rumla z Banachem przerodziła się z czasem w przyjaźń i bliską współpracę w okupacyjnej konspiracji.

Służbę wojskową odbył Rumel na dywizyjnym kursie artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, kampanię wrześniową przeszedł w stopniu podporucznika. Zaraz po klęsce wrześniowej włączył się w działalność konspiracyjną w Warszawie. Był jednym z aktywnych konspiratorów - organizatorów podziemnej prasy ruchu ludowego ROCh-BCh. Przeżycia związane z ewakuacją zdekonspirowanej w stolicy podziemnej drukarni stały się inspiracją wiersza „Drukarnia”:

„Czarne literki w taśmach mitraliez,
Odbite rzędem na lustra stronic.
Głuche jest tętno tajnej drukarni.
Zmęczonej dłoni palący płomień”.

Swoje wiersze czytał Rumel na spotkaniach towarzyskich w konspiracyjnej Warszawie. Na jednym z nich - wspomina jego żona Anna, aktorka - podszedł do niej Leopold Staff i powiedział: „Niech pani chroni tego chłopca - to będzie wielki poeta”.

W 1941 r., po zajęciu Kresów Wschodnich przez Niemców, Rumel zgłasza się ochotniczo do pracy konspiracyjnej na Wołyniu. Z przygotowaniami do tej szczególnie trudnej konspiracji i przekroczenia Bugu, granicy Generalnej Guberni, związany jest piękny wiersz „Przewodnica”:

„Zakukała kukuleczka zozuła
szarym światem przez zielony liść,
dzieciół czarny po korze zaturlał:
możesz iść - możesz iść - możesz iść...

Zakukała, zakukała mi znowu...

Przeszli, znikli - teraz idź - prowadź Bóg.

Kukuleczko, zozuleńko, bądź zdrowa –
moja rzeka jest już tu - chłodny Bug”.

Do wiosny 1942 r. - pisze K. Banach - Rumel nawiązywał liczne kontakty konspiracyjne, z wychowankami Liceum Krzemienieckiego i Uniwersytetu Ludowego w Róźnie, z przedwojennymi działacza-

mi ruchu ludowego, również z Ukraińcami przychylnie nastawionymi do Polaków. Wielu z nich odniosło się do Rumla bardzo życzliwie, udzielając mu pomocy i środków transportowych. Nawiązywał również kontakty z polskimi kolejarzami, którzy przewozili na Wołyń literaturę konspiracyjną, broń, leki, korespondencję.

W trudnej i wyjątkowo niebezpiecznej konspiracji pomagała mu dzielnie żona, która w końcu stycznia 1942 r. została odkomenderowana na Wołyń jako łączniczka Komendy Głównej BCH. W służbie tej pokonywała niebezpieczne trasy, najpierw koleją przez Lublin, Rejowiec, Hrubieszów, a następnie pieszo przez wołyńskie bezdroża, w jesienną słotę i śnieżne zamiecie, dostarczając do punktów kontaktowych konspiracyjną prasę drukowaną w tajnych warszawskich drukarniach”.

Wiadomości zbierane przez Rumlów o sytuacji ludności polskiej na Wołyniu były niepomyślnie, wskazywały jednoznacznie na pogarszającą się sytuację mniejszości polskiej pod nową okupacją niemiecko-ukraińską. Wzmacniała się antypolska propaganda, rozwijana przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i administrację okupacyjną.

Narastały prześladowania ludności polskiej, coraz częściej terroryści z OUN skrytobójczo mordowali pojedynczo polskie osoby, a z czasem całe rodziny. Ukraińska policja, będąca na służbie u Niemców, dokonywała aresztowań inteligencji polskiej, inwigilowanej przez ukraińskich nacjonalistów, i pacyfikacji polskich wsi pod byle pozorem.

Informacje zebrane przez Rumlów zostały wiosną 1942 r. przedyskutowane w centralnym konspiracyjnym kierownictwie ruchu ludowego w Warszawie. W wyniku dyskusji zdecydowano w czerwcu tego roku o konieczności organizowania na Wołyniu sieci placówek ruchu ludowego, które w razie potrzeby mogłyby wesprzeć polską samoobronę. Tego zadania podjęli się K. Banach, mianowany delegatem Rządu na Wołyń, i Rumel oraz przerzuceni na ten teren działacze ludowi. 21 listopada 1942 r. obaj przekraczają Bug. Relację z tej przeprawy pozostawił Banach:

„O 9 wieczorem razem z Rumlem, leśniczym i dwoma gajowymi udaliśmy się w kierunku Bugu. Leśniczy i gajowi

uzbrojeni byli w broń długą. Rumel i ja mieliśmy tylko visy. Wszyscy mieliśmy ponadto chyba tylko po jednym granacie. Padał gęsty śnieg. W oddali Niemcy wystrzeliwali rakiety dla oświetlenia terenu. Rakiety zbliżały się do nas. Leśniczy uświadomił mnie, że straż granicznej nie należy się bać, bo jak tylko zacznie się strzelanina, to oni zaraz wieją ... Dotarliśmy wreszcie do Bugu. Był dość szeroki i bystro toczył swe wody. Rumel przełamał dużą gałąź. Był to sygnał dla oczekujących nas po stronie wołyńskiej Bugu. Cisza. Oczekaliśmy pewien czas. Rumel znów przełamał gałąź. Tym razem odpowiedziano przełamaniem gałęzi po drugiej stronie ... Podpłynęła łódź, a właściwie koryto wyżłobione w pniu drzewa. Pożegnaliśmy leśniczego i gajowych oddali nam broń krótką i granaty. Powiedziałem im parę ciepłych słów podzięki i uznania za ich ofiarność i odwagę.

Wszystko dla ojczyzny - odparł leśniczy.

Wsiedliśmy z Rumlem do wspomnianego koryta. Wiosłował Petro - Ukrainiec. I tak około godziny 3 rano 24 listopada 1942 roku powróciłem wraz z Zygmuntem na ziemię wołyńską. Zygmunt Rumel nigdy już stamtąd nie wrócił ...”.

Na Wołyniu Rumel ze zdwojoną energią kontynuuje konspiracyjną działalność, rozpoznaje zmieniającą się radykalnie na gorszą sytuację ludności polskiej, nawiązuje nowe kontakty, odnawia stare – również z przychylnymi Polakom Ukraińcami, planuje zręby przyszłych baz samoobronnych. Nawiązuje ścisłą współpracę z Inspektorem AK w Kowlu. Jako komendant BCh na Wołyn Rumel wraz z Banachem i miejscowymi działaczami ludowymi ustalają skład Wołyńskiej Komendy BCh i komend powiatowych.

Dla skuteczniejszego przeciwdziałania antypolskiej propagandzie OUN zostaje uruchomiona na Wołyniu drukarenka z polskim i ukraińskim zecerskim wyposażeniem. Skonstruował ją, w Warszawie i przetransportował koleją do Kowla warszawski drukarz Władysław Brewczyński, który przy pomocy Marii Suszyńskiej, szefa propagandy BCh na Wołyn, drukował komunikaty prasowe i apele do Ukraińców o zaprzestanie ekster-

minacji ludności polskiej. Drukarenka, zwana „wyżymaczka”, z którą wiąże się wiele dramatycznych zdarzeń, pracowała najpierw w Różynie, a następnie w Radowiczach i Osieczniku, gdzie w sierpniu 1943 r. zakończyła żywot - została zakopana w obejściu Juliana Leszczyńskiego na krótko przed dramatyczną ewakuacją ludności polskiej z rej. wsi do Zasmyk - polskiej samoobrony.

W 1943 r. sytuacja ludności polskiej na Wołyniu pogarszała się wprost lawinowo. Bandy UPA wraz z miejscowymi nacjonalistami rozpoczęły masowe rzezie ludności polskiego pochodzenia. Mordowano ludzi całych wsi i osad. Fale rzezi przemieszczały się ze wschodnich powiatów do zachodnich. Latem zbliżały się do polskich skupisk w powiecie kowelskim. Hiobowe wieści paraliżowały ludność, wzbudzając śmiertelną trwogę. Ginęły resztki nadziei na przeżycie w swoich wsiach.

W tej dramatycznej sytuacji Rumel, współdziałając z Inspektorem Kowelskim AK, usiłuje organizować polskie samoobrony. W pierwszej dekadzie lipca 1943 roku, kiedy banderowskie ludobójstwo zbliżało się do apogeum. Rumel z polecenia Banacha, delegata rządu Rzeczypospolitej na Wołyń, podejmuje desperacki krok, by ratować, polską ludność przed zagładą, by chociaż odwlec nieuchronną rzeź.

Razem ze swoim oficerem do zleceń specjalnych, Krzysztofem Markiewiczem z Kowla, udaje się prawdopodobnie do wsi Wołczak, gdzie zamierza rozmawiać z dowódcą północno - zachodniego zgrupowania UPA Jurijem Stelmaszczukiem, odpowiedzialnym za kierowanie masowymi mordami ludności polskiej w powiatach: łuckim, horochowskim, włodzimierskim, kowelskim, lubomelskim i innych. Po drodze parlamentariusze zatrzymują się w Radowiczach u rodziny Leśniewskich, której trzy miesiące temu, z 10 na 11 kwietnia, banderowcy zamordowali ojca i dwóch dorosłych synów.

Córki, Antonina i Jadwiga Leśniewskie, na próżno przestrzegają parlamentariuszy przed dalszą, wyjątkowo niebezpieczną podróżą. Mimo śmiertelnego ryzyka, Rumel i Markiewicz decydują się wykonać polecenie delegata rządu. Po wsi lotem błyskawicy rozeszła się

wieść, że jacyś polscy oficerowie będą rozmawiać z „bulbowcami”, na pewno z upragnionym skutkiem. Zabłyśła iskierka nadziei ...

Nasi parlamentariusze w odświeżonych u Leśniewskich polskich mundurach, z naszytymi tam oficerskimi dystynkcjami, ruszają w drogę. Wiezie ich mieszkaniiec Radowicz Witold Makowski, ale do rozmów z niewiadomych przyczyn nie dochodzi. Parlamentariusze tego samego dnia - według Michała Fijałki, cichociemnego oficera z 27 Wołyńskiej Dywizji AK - przybywają na nocleg do Bud Ossowskich, polskiej wsi. Tutaj również Polacy stanowczo odradzają wyjazd do sztabu UPA - wspomina były mieszkaniiec tej wsi Stanisław Lemiński. Ale parlamentariusze nie zmieniają swojej decyzji. Na przestrogi Rumel stanowczo oświadczają, że rozkaz to święta rzecz. I trzeba ratować ludność przed zagładą. Na pożegnanie wręczył Lemińskiej tekst modlitwy, którą ona zapamiętała na całe życie, do dzisiaj, ucząc jej swoje dzieci i wnuki. Oto fragment:

„Bądź wola Twoja! Ale nie może być wolą Twoją, by mord i krwawe rozpętanie rządziło światem. Spraw, by za wolą Twoją opustoszały więzienia, by leśne doły przestały napępniać się trupami, by szatan ucieleśniony w człowieku nie świstał nad głowami naszymi biczem grozy”.

Drugi wyjazd parlamentariuszy do sztabu UPA miał miejsce 9 lipca, powoził mieszkaniiec pobliskiej Kowalówki Witold Dobrowolski. Wszyscy trzech zostali zatrzymani przez UPA, ale Rumlowi udało się jakimś cudem przekazać do Radowicz ostrzeżenie o grożącym ludności polskiej niebezpieczeństwie. Ostrzeżenie było jednocześnie umówionym sygnałem do wymarszu 11-osobowej grupy radowickiej młodzieży pod dowództwem ppor. Henryka Nadratowskiego do polskiej wsi Zasmyki i zawiązania tam samoobrony.

W obliczu zagłady samoobrona szybko rosła w siłę, tocząc nieprzerwanie boje z atakującą podstępnie UPA, znacznie lepiej uzbrojoną i wielokrotnie liczniejszą. Zdeterminowani obrońcy, przygotowani na najgorsze, uratowali życie tysiącom Polaków na Wołyniu.

10 lipca 1943 r., w dniu wymarszu radowickiej grupy do Zasmuk, nasi parlamentariusze – Z. Rumel, K. Markiewicz oraz powożący W. Dobrowolski – zostali zamordowani w najokrutniejszy sposób przez rozerwanie końmi. W tak barbarzyński sposób atamani UPA potraktowali parlamentariuszy rządu Rzeczypospolitej błagających wprost litości dla tysięcy dzieci polskich, ich rodziców i staruszków.

Poćwiartowane zwłoki męczenników miejscowi chłopci złożyli w lasu sosnowym na brzegu jeziora za wsią Kustycze, kilka kilometrów na południe od Turzyska.

Tak zginął w wieku 28 lat nieprzeciętny człowiek, oficer Wojska Polskiego, o wielkiej odwadze i głębokim poczuciu obowiązku, komendant BCh na Wołyń, utalentowany, wspaniale zapowiadający się poeta, jeszcze jeden z „Pokolenia Kolumbów”, jeszcze jeden z „Rodu Anhellich”.

Wiele lat później żona poety pisała: „Lasom zabużańskim przybyła jeszcze jedna bezimienna mogiła – nie kurhan, jaki sobie poległy poeta zamarzył. Mogiła, której ślad zatarła przyroda”.

Tamtego tragicznego 10 lipca, w sobotę i w dwa następne dni oszałała antypolską nienawiścią OUN-UPA wymordowała tysiące ludności polskiej. W najkrwawszą niedzielę, 11 lipca, zbrodnia ludobójstwa osiągnęła szatańskie apogeum. Tej niedzieli w ponad 160 miejscowościach Wołynia, w tym i w kilkunastu kościołach, Ukraińcy – banderowcy z miejscowymi nacjonalistami wycięli kilkadziesiąt tysięcy ludzi, nie oszczędzając dzieci przystępujących do Pierwszej Komunii św. ani księży. Były to rzezie na nie spotykaną skalę, liczbą ofiar i okrucieństwem przerastające ludzką wyobraźnię.

W tych i następnych dniach pożogi trawiły tysiące zabudowań, obracając w zgłiszcza wielopokoleniowy dorobek polskiej ludności, osiedlonej tam przed wiekami. Rdzawe łuny pożarów budziły śmiertelną trwogę, wskazując miejsca straszliwej zbrodni złowieszczo wróżąc następne. Ocaleli z krwawych pogromów dzieci, kobiety i mężczyźni, nierzadko okaleczeni już i chorzy bliscy obłędu, przedzierali się zbożami przez mokradła i

leśne ostępy do bezpieczniejszych miejsc lub dniami i nocami trwali w ukryciu, tracąc nadzieję na ratunek. Tropieni przez fanatycznych zwyrodnialców spod znaku OUN-UPA, byli bestialsko mordowani.

Taki to był rok 1943 na Wołyniu, rok śmierci, pożogi, trwogi i paralizującego lęku. I tylko ludziom silnym duchem i nadzieją, ludziom z głębokim poczuciem odpowiedzialności i szeroką wyobraźnią zawdzięczać należy, że poderwali i zorganizowali skazaną na zagładę i wątpiącą ludność do desperackiej walki o fizyczne przetrwanie. Chwała im i wieczna pamięć w naszej narodowej historii.

Jednym z najwybitniejszych i najbardziej oddanych organizatorów tej walki był Zygmunt Rumel, który w krańcowo dramatycznej sytuacji, w obliczu śmiertelnego zagrożenia nie uląkł się i nie zrezygnował z wykonania zadania najwyższej rangi - ratowania rodaków przed zagładą. Z potrzeby dramatycznej sytuacji był żołnierzem i konspiratorem, nie nawet w tym apokaliptycznym czasie nie przestawał być poetą i to poetą wybiegającym w przyszłość. Wierzył w człowieka i jego zdolność doskonalenia się. Unikał tematów dramatycznych, czarnych, ponurych, chociaż na co dzień stykał się z nieszczęściem, pożogą i śmiercią. Swój poetycki testament zawarł w wierszu „Poema”, jednym z ostatnich, napisanym w czerwcu, na krótko przed śmiercią:

„Poema by nam stworzyć polskie nowe –
Jędrnej gwary społecznej pełne, mocne, zdrowe,
Jare jako pszenica, jako chłopy żytnie,
W których Polska jak długa, szeroka - zakwitnie”.

Żona Rumla Anna, wkrótce po jego śmierci wróciła do Warszawy, brała udział w powstaniu jako sanitariuszka. W latach 1949-59 grała w Teatrze „Wybrzeże”. Zmarła kilka lat temu.

Jarosław Iwaszkiewicz, Jeszcze jeden, *Życie Warszawy*, 16.XI.1975.
Anna Kamieńska, Nota biograficzna, Zygmunt Jan Rumel, *Poezje*. Warszawa 1975, s. 81 i nast.

Anna Kamieńska, Jeszcze jeden poeta „Pokolenia Kolumbów”. *Twórczość*, nr 5, 1973, s. 13.

Anna Rumel, *Wędrówki za Bug w: Twierdzą nam będzie każdy próg*. Warszawa 1970, s. 106 i nast.

Kazimierz Banach, *Z dziejów Batalionów Chłopskich*, Warszawa 1968, s. 228.

Michał Fijałka, *27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK*. Warszawa 1986, s. 5.

Anna Rumel, tamże, s. 115.

* * *

UWAGI O KSIĄŻCE

„Osnowa” Zgrupowanie Pułkowe 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK

W połowie 2004 r. ukazało się zapowiadane od dłuższego czasu w Okręgu Wołyńskim Światowego Związku Żołnierzy AK opracowanie o Zgrupowaniu Pułkowym „Osnowa” 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, na które czekali ze szczególnym zainteresowaniem towarzysze broni tego Zgrupowania, licząc na uporządkowaną historię „Osnowy” począwszy od konspiracyjnych formacji, z których wywodziła się „Osnowa” i której członkowie ją tworzyli. Podjął się tego zadania były żołnierz tego Zgrupowania w okresie koniec marca-21 kwietnia 1944 r. prof. dr hab. Edmund Henryk Bakuniak⁵. Dzieje Zgrupowania „Osnowa” są mi dobrze znane, bowiem od września 1939 r. brałem udział w konspiracji powiatu włodzimierskiego, na terenie którego formowano Zgrupowanie, a w sztabie Zgrupowania byłem oficerem ds. specjalnych od początku jego powstania.

Tytuł na okładce „*Osnowa*” *Zgrupowanie Pułkowe 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK* jest uzupełniony wewnątrz na stronie tytułowej dwoma podtytułami: *Od lasów wołyńskich do Puszczy Solskiej* oraz *Wspomnienia uczestnika walk 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK i 9. Pułku Piechoty Legionów AK*. Na podstawie drugiego podtytułu można sądzić, że są to wyłącznie wspomnienia Autora, tymcza-

⁵ „Jeż” Edmund Henryk Bakuniak, *„Osnowa” Zgrupowanie Pułkowe 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Od lasów wołyńskich do Puszczy Solskiej*, Światowy Związek Żołnierzy AK – Okręg Wołyński, Warszawa 2004.

sem stanowią one tylko ok. 8% całości pracy (od 11 do 33 strony i małe fragmenty w kilku rozdziałach).

Pozostałą część pracy można podzielić na dwie części:

I (ss. 33-231) – niezbyt klarowne opisy organizacji i działań 27. Wołyńskiej Dywizji AK, jej Zgrupowania „Osnowa” i oddziału partyzanckiego AK „Luna”/„Krwawa Luna”, którego Autor był żołnierzem, obfite w osobiste rozważania i krytyki Autora co do słuszności różnych decyzji i przedsięwzięć Rządu RP na emigracji, najwyższych władz krajowych Polskiego Państwa Podziemnego oraz na szczęblu Okręgu Wołyń, refleksje związane z dokonaniem przez nacjonalistów ukraińskich ludobójstwem na Wołyniu;

II (ss. 232-331) – Aneksy, tj. dokumenty, listy żołnierzy, wybrane życiorysy dowódców. Obie części są ilustrowane przeważnie mało znanymi fotografiami.

Przy pierwszym przeglądnięciu książki raz i brak wyodrębnionej bibliografii (publikacje, archiwalia), co utrudnia ogólną ocenę materiału źródłowego, zaś z przekartkowania kolejnych rozdziałów i analizy przypisów rzuca się w oczy, że w bazie źródłowej przeważa kilkanaście ogólnie znanych opracowań naukowych i popularnych. Dokumentowanie podawanych informacji jest niewystarczające, bowiem praca zawiera ogromną ilość wiadomości, których Autor nie mógł czerpać z własnych przeżyć i pamięci, a ich źródła nie są podane w przypisach. Wątpliwości może też budzić sens cytowania dużych fragmentów opublikowanych już prac. Wartościowym materiałem są natomiast dokumenty, które dotąd nie były publikowane. Szkoda, że nie zostały opatrzone objaśniającymi i komentującymi treść przypisami. Przydatna byłaby też schematyczna mapa przedstawiająca rejon koncentracji „Osnowy”, miejsca walk i drogi przemieszczania się jednostek. Przy szczegółowej lekturze wybija się kilka ważnych spraw, które poniżej omawiam.

Pierwszą jest sposób przedstawienia historii Zgrupowania „Osnowa”. Mimo chronologii opisu istnienia 27. Wołyńskiej Dywizji AK, a w niej Zgrupowania „Osnowa”, nawet dla osoby obeznanej z problematyką, powstaje wrażenie chaotyczności. Brak równowagi między poszczególnymi treściami i przeplatanie faktów czynionymi przez Autora ocenami, rozważaniami, krytykami i wątpliwościami

czy dygresjami o sprawach poprzedzających i wyprzedzających opisywane wydarzenia sprawiają, że podstawowe wiadomości o Zgrupowaniu „Osnowa” gubią się i trudno jest wyciągnąć z lektury uporządkowany obraz „Osnowy”. Z pewnością taki obraz wyłoniłby się, gdyby w pracy zamieścić kalendarium działań wszystkich jednostek „Osnowy”. Ze względu na tytuł pracy szczególnie drażni marginalne potraktowanie struktur konspiracyjnych, z których powstało Zgrupowanie „Osnowa” oraz brak wskazania, że kryptonim Zgrupowania był kryptonimem łuckiego Inspektoratu AK, w skład którego wchodziły obwody: Łuck o kryptonimie „Łan”, Kiwerce – Łąka”, Horochów – „Łom”, Włodzimierz Wołyński – „Ława”.

Zawiedzeni są żyjący jeszcze członkowie konspiracji, których niebezpieczna praca przyczyniła się do mobilizacji i koncentracji Zgrupowania w rejonie Włodzimierza Woł., którzy je obsługiwali i którzy po rozbiciu części Zgrupowania oraz przebicju się z okrażenia drugiej jego części, w dalszym ciągu wspomagali żołnierzy-rozbitków Zgrupowania. Ich wysiłki nie są w opracowaniu odnotowane, a przecież ta część konspiracji, która nie weszła w skład Zgrupowania walczącego z bronią w ręku stanowiła jego część składową. Natomiast nie ma merytorycznego uzasadnienia zaliczanie do Zgrupowania Pułkowego „Osnowa” oddziału ppor. Jana Ochmana „Kozaka” (ss. 69,167-173 i inne), który stanowiąc oddział tzw. „policii polskiej” w Iwaniczach, nie zdołał – jak udało się to innym tego typu formacjom – stawić się na koncentrację oddziałów polskich, a więc nie wszedł w skład „Osnowy”. Ewakuowany przez Niemców za Bug 5 lutego 1944 r., przeszedł tam na stronę polską, a dalsze losy nie miały organizacyjnie nic wspólnego ze Zgrupowaniem „Osnowa” i 27. Wołyńską Dywizją.

Niewłaściwie jest przedstawiony rejon koncentracji „Osnowy” – nie zostały wymienione wszystkie miejscowości, w których rozlokowano poszczególne jednostki Zgrupowania, a wieś Bielin została niesłusznie wyeksponowana jako jego centrum i miejsce koncentracji oddziałów polskich. Wzbudza sprzeciw brak proporcji w omawianiu poszczególnych jednostek Zgrupowania i poprzedzających je struktur – Autor skupił się na oddziale partyzanckim „Łuna”, którego związki ze Zgrupowaniem „Osnowa” były krótkie – od końca marca

do 21 kwietnia 1944 r., snując przez wszystkie niemal rozdziały historii tego oddziału (oraz jego pojedynczych żołnierzy) od momentu jego powstania, a marginalnie potraktował np. oddział partyzancki ppor. Władysława Cieślińskiego „Piotrusia”, który w rejonie koncentracji działał od sierpnia 1943 r. i był jakby trzonem tworzącego się Zgrupowania.

Z pominiętych ważnych wydarzeń z historii „Osnowy” należy wskazać np. rozbrojenie 76 Niemców pod Stężarzycami, które spowodowało aresztowanie i osadzenie w więzieniu ok. 300 osób, mieszkańców Włodzimierza. Parlamentariuszem w rozmowach z Niemcami w sprawie wymiany jeńców na aresztowanych był ks. Mieczysław Kobylecki. Ważną rolę w tych pertraktacjach z Niemcami odegrała Helena Sadowska „Ługa”, pracująca jako tłumacz w niemieckiej Komendanturze miasta, mająca poza tym przeogromne zasługi dla konspiracji.

W opisie potyczki z Niemcami pod Wodzinowem (s. 64) zapomniany został fakt wzięcia do niewoli dwóch rannych Niemców i odesłanie ich do garnizonu m. Włodzimierz. Ryzykownego odwiezienia rannych podjęła się Amelia Lachowicz „Brzózka” z kwatermistrzostwa „Osnowy” i nie została aresztowana jako *polnische banditin*, jak można było się spodziewać, przywożąc pisemne podziękowanie komendanta miasta.

Również pominięty został następny ważny fakt w historii „Osnowy”, z którego byli żołnierze mają prawo być dumni, a mianowicie zestrzelenie niemieckiego samolotu bombardującego 9 kwietnia 1944 r. wieś Bielin, gdzie było kwatermistrzostwo i szpital. Dokonali tego, strzelając z rkm żołnierze stacjonujący w Sieliskach przy dowództwie Zgrupowania. Miało to duże znaczenie dla wzmocnienia ducha w Zgrupowaniu.

Brakuje omówienia pracy konspiracji włodzimierskiej na rzecz ratowania żołnierzy, którzy wydostawszy z okrażeń niemieckiego zjawiali się we Włodzimierzu i bliskiej okolicy, choć Autor wspomina o „legalizacji dokumentów” (ss. 155,162), która rzekomo nie była możliwa. Tymczasem wielu żołnierzy-rozbitków, dzięki wspomnianej wyżej Helenie Sadowskiej „Łudze”, która załatwiała niemieckie przepustki, płacąc gestapowcowi o nazwisku Boss po 10 dolarów za

osobę, uciekło za Bug, unikając aresztowania. Zasługi dla „Osnowy” „Ługi” oraz jej ojca Ignacego Sadowskiego są w pracy E. H. Baku- niaka nieobecne, najprawdopodobniej z powodu niewiedzy, nato- miast niezrozumiałe jest nie zamieszczenie tych osób również w al- bumie „Żołnierze Wołynia” (Warszawa 2003), opracowanym przez zespół byłych żołnierzy 27 WDP AK, w którym listę żołnierzy spo- rządziła Henryka Rotbart z Włodzimierza Woł., krewna i współpra- cowniczka tych konspiratorów. Pomocą żołnierzom-rozbitkom (s. 162) zajmowali się też inni pominięci w pracy konspiratorzy: Antoni Gąsiorowski „Roch” – Delegat Rządu RP na powiat horochowski, a po jego wyjeździe z Włodzimierza Woł. za Bug ppor. Zygmunt Dziewanowski „Mruk” oraz Marcin Dutkowski „Mar” jako ostatni komendant miasta Włodzimierz, aresztowany przez NKWD 28 listo- pada 1944 r.. Wymienieni udzielili pomocy pieniężnej lub żywno- ściowej ze środków finansowych konspiracji 294 żołnierzom-rozbitkom, w tym co najmniej 34 żołnierzom z batalionu „Łuna” (wykaz ten znajduje się w Biurze Archiwizacji i Udostępniania Zbio- rów IPN).

W kilku miejscach pracy (np. ss. 21, 22, 34, 65) Autor porusza sprawę udziału członków konspiracji i późniejszych żołnierzy Dywi- zji w tzw. polskiej policji na służbie niemieckiej, organizowanej przez Niemców po ucieczce policjantów ukraińskich do oddziałów UPA, nie zaznaczając nigdzie, że komendant Okręgu AK Wołyn płk. Kazimierz Bąbiński „Luboń” w kwietniu 1943 r. wydał rozkaz zaka- zujący jakiegokolwiek współpracy w akcjach samoobrony z władzami niemieckimi (por. meldunek sytuacyjny nr 123 „Lubonia” do Ko- mendanta Głównego AK w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu War- szawskiego). Mało prawdopodobne, by w tej okoliczności „dubień- ska organizacja AK zdecydowała, że młodzi ludzie mogą wstępować do policji pomocniczej” (s. 21). Wyjątkiem był 20-osobowy oddział skierowany przez Obwód AK Łuck do Torczyzna w celu zdobycia broni i natychmiastowej po tym dezercji – o czym mówi poważne źródło przytoczone przez Autora na s. 57. Faktem jest natomiast, że władze konspiracyjne nie mogąc powstrzymać zdesperowanych lu- dzi, którzy upatrywali w „policji” możliwość zdobycia broni i obro- ny ludności polskiej przed napadami OUN-UPA, starały się wyko-

rzystać tę sytuację dla swoich celów, tj. przygotować dezercję „policjantów” do swoich oddziałów partyzanckich, nawiązując kontakt z pojedynczymi członkami „policji” i skierowując do niektórych oddziałów swoich ludzi. Oddziały te nosiły nazwę *Schutzmannschaften*, a nie – jak twierdzi Autor – *Selbstschutzpolizei* (ss. 21,54), które występowało np. na Zamojszczyźnie. Również nieprawidłowo jest nazywany batalion żandarmerii złożony z Polaków, stacjonujący jakiś czas w Maciejowie – „Hilfspolizei” (s. 34), gdy był to *Schutzmannschaftsbataillon nr 107*.

Zupełną legendą jest twierdzenie o porozumieniu 13 lipca 1943 r. pomiędzy Gebietskommissarem Wentzkiem we Włodzimierzu a Sylwestrem Brokowskim „Bogorią”, komendantem Obwodu AK Włodzimierz Woł., w sprawie utworzenia 500-osobowej grupy samoobrony (s. 65). Jest to szczególnie szkodliwa legenda, bowiem rozpowszechnia fałszywą informację jakoby wołyńska AK wchodziła w układy z Niemcami, tym bardziej, że w dodatku fałsz ten pochodzi od osób związanych z 27. WDP AK. Szkoda, że Autor bezkrytycznie skorzystał ze źródła tej informacji i nie zweryfikował jej. W tym czasie byłem we Włodzimierzu Woł. oficerem informacyjnym tamtejszej konspiracji i doskonale pamiętam, jak uciekinierzy z rzezi 11 i 12 lipca 1943 r. wstępowali do zorganizowanej przez Niemców „żandarmerii” (*Schutzmannschaftsbataillon nr 107*), licząc na możliwość obrony przed nacjonalistami ukraińskimi i jak było to przez nas piętnowane, ale nie byliśmy w stanie zjawisku temu zapobiec. Poza wymienioną „żandarmerią” niemieckie władze bezpieczeństwa, a nie Gebietskommissar utworzyły w kilku miejscowościach powiatu włodzimierskiego posterunki *Schutzmannschaften*, które zajmowały się ochroną obiektów, ochroną zbiorów plonów i zwalczaniem band UPA, które to posterunki ludność polska nazywała potocznie samoobroną ze względu na udzielaną jej pomoc. Dopiero później, gdy rozpoczęła się koncentracja sił oporu, postanowiliśmy wciągnąć te oddziały do „Osnowy”.

W pracy znalazło się szereg oskarżeń i krytyk pod adresem Naczelnego Dowództwa AK, jak i w ogóle organizacji konspiracji. Najważniejsze można ująć w kilku punktach: 1) brak reakcji na szykujące się do rozprawy z Polakami podziemie ukraińskie ze strony

konspiracji na Polesiu, tj. nie ostrzeżenie centralnych władz konspiracyjnych w Warszawie i nie udzielenie pomocy Wołyniowi (ss. 40,72,78); 2) nie stworzenie oddziałów partyzanckich w Małopolsce Wschodniej i nie udzielenie pomocy Wołyniowi (ss. 40,72,78); 3) „bezsensowny zakaz przekraczania Bugu przez żołnierzy Wołynia” i „demonstracja” polskiej obecności na Wołyniu” wobec Sowietów, co szczególnie mocno denerwuje Autora, zamiast udzielania pomocy mordowanym przez UPA Polakom na Zamojszczyźnie (ss. 40,43,44,71,72,78); 4) nietrafna decyzja przebijania się Dywizji z niemieckiego okrążenia na północ (s. 74).

Krytyki te jako żywo przypominają ataki na AK i Polskie Państwo Podziemne z czasów PRL-u, zwłaszcza gdy Autor mówi o kilkutyśięcznej uzbrojonej Dywizji, która stała na Wołyniu i nie ruszyła na atakowaną przez UPA wschodnią Lubelszczyznę. Rozdrażnienie „demonstracją polskiej obecności” wobec Sowietów wskazuje, że Autor nie czuje polskiej racji stanu wynikającej z ówczesnych warunków.

Te „domowe” oceny nie są poparte wszechstronnymi badaniami przesłanek wpływających na decyzje władze Polskiego Państwa Podziemnego. Można w związku z tym zwrócić uwagę na szczególnie skomplikowaną i rozpaczliwą sytuację polityczną, w której znalazła się Polska w końcu wojny – z jednej strony porozumienia pomiędzy Anglosasami a Sowietami zawierane bez udziału i poza wiedzą polskich czynników polityczno-wojskowych na emigracji, z drugiej strony gołym okiem widoczne zamiary Sowietów wzięcia pod okupację ziem polskich po wypchnięciu z nich Niemców, a więc wynikające z tego stanu usiłowania zachowania dla państwa polskiego tego, co jeszcze nie zabrane, a przy tym brak sprawnej i szybkiej łączności pomiędzy wszystkimi szczeblami Polskiego Państwa Podziemnego, co powodowało niedoinformowanie, dezaktualizację informacji i nie zawsze pasujące do sytuacji decyzje. Szkoda, że Autor nie wziął pod uwagę tych elementów i porwał się na łatwą krytykę „zza biurka” w warunkach pokoju po 60 latach. Szczególnie wydaje się nietrafne mniemanie Autora, że Wołyń mógł ratować Lubelszczyznę, a Polesie i Podole Wołyń, gdy wszędzie siły były za małe i zbyt słabe dla ocalenia swego terenu przed OUN-UPA.

Każda decyzja w określonych warunkach ma dobre i złe strony. Jak trudna była sytuacja dla decydujących o wszelkich przedsięwzięciach Polskiego Państwa Podziemnego na Wołyniu świadczy niezauważany fakt w publikacjach nt. akcji „Burza”. Chodzi o odwołanie „Burzy” na Wołyniu przez Komendę Główną AK, której to dyrektywie w tej sprawie, przywiezionej z Warszawy na Wołyn na początku lutego 1944 r. przez ppłk. Jana Kiwerskiego „Oliwę”, sprzeciwił się Komendant Okręgu wołyńskiego płk Kazimierz Babiński „Luboń”. Píše on o tym w opracowaniu z 1966 r. pt. „Konspiracja i walki na Wołyniu 27. Dywizji”, złożonym wówczas przez niego w Wojskowym Instytucie Historycznym (kopia w moim posiadaniu): „... oddziały już zmobilizowane mają przejść spowrotem do konspiracji tym razem wobec Związku Radzieckiego (...). Na takie rozwiązanie iść nie mogłem, licząc się z wrogim odruchem każdego z moich żołnierzy, któremu śmiałybym wydać podobne rozkazy. Myśl moją w danej chwili wyrażoną, podałem „Oliwie”, komunikując mu, że złożę Komendantowi Głównemu odpowiedni raport. Żadnych zarządzeń w tej mierze, wynikających z dyrektywy Komendy Głównej, oczywiście nie przedsiębrałem”.

Szczególnie trudne warunki działania 27 WDP AK na Wołyniu przerastały możliwości psychiczne niektórych dowódców niższego szczebla. Do tych nielicznych należał dowódca batalionu „Łuna”/„Krwawa Łuna”, a wcześniej dowódca oddziału partyzanckiego „Łuna”, w którym walczył Autor opracowania, por. Zygmunt Kulczycki „Olgierd”. Autor ocenia bardzo wysoko „Olgierda” w czasie konspiracji i dowodzenia oddziałem partyzanckim i prawdopodobnie te dobre wspomnienia są przyczyną łagodnego potraktowania jego późniejszej wysoce nagannej postawy, gdy porzucenie batalionu i pozostawienie podległych żołnierzy samym sobie w okrażeńiu niemieckim, nazywa nie dotrzymaniem w walce do rozbrojenia Dywizji (s. 8), brakiem zdecydowania (s. 182) lub powrotem do Włodzimierza (s. 291). Ze sprawą tą zetknąłem się osobiście, gdy na polecenie Komendy Okręgu AK Lublin (będąc łącznikiem pomiędzy tą Komendą a dowództwem 27. Dywizji) w lipcu 1944 r. przeprowadzałem „Olgierda” z Lublina do m.p. dowództwa 27. WDP AK w Kozłowie, gdzie miało być wszczęte dochodzenie co do okoliczności

porzucenia batalionu i zwolnienia za dolary z gestapo w Radomiu, jak wtedy twierdził (po latach miało to być zwolnienie z więzienia na Zamku w Lublinie /s. 161/) – podkr. W.S. Dochodzenia nie przeprowadzono, ponieważ w kilka godzin później po naszym przybyciu Dywizja została rozbrojona przez Armię Czerwoną. Przy okazji warto też dodać, że twierdzenie „Olgerda”, że brał udział w wyzwaniu Kocka (s. 161) jest nieprawdziwe, ponieważ w tym czasie (22 lipca 1944 r.) był razem ze mną w drodze do m.p. Dywizji. Po rozbrojeniu „Olgerd” przebywał w Lublinie. Znacznie bardziej obciążające „Olgerda” wydarzenie, o którym Autor nie wspomina w ogóle, miało miejsce w październiku 1944 r. Wówczas w Kurówce k. Tłuszcza w mieszkaniu sióstr mjr. Jana Szatowskiego „Kowala”, dowódcy Zgrupowania Pułkowego „Gromada” 27. Dywizji, aresztowany został przez pracownika UB Światłę w asyście „Olgerda” ostatni dowódca 27. WDP AK płk Jan Kotowicz „Twardy”. Szczęśliwym trafem aresztowania uniknął wtedy mjr „Kowal”. Około miesiąca później również przez Światłę z pomocą „Olgerda” aresztowana została na warszawskiej Pradze instruktorka oświatowo - wychowawcza ze służby Pomocy Żołnierzom (PŻ) Lilla Niemczewska „Leona”, następnie przesłuchiwana zarówno przez Światłę, jak i „Olgerda”, a także skonfrontowana z „Twardym” w obecności gen. Grzegorza Korczyńskiego⁶. Te kompromitujące „Olgerda” fakty z r. 1944 (przemilczane przez E.H. Bakuniaka), stawiają pod znakiem zapytania jego odznaczenie Krzyżem Orderu Virtuti Militari V kl. (s. 291). Jeśli rzeczywiście otrzymał to odznaczenie, o czym nigdy nie słyszałem, to nie z wniosku kadry dowódczej 27. WDP AK.

Surowość ocen dokonywanych przez Autora w stosunku do najwyższych czynników Polskiego Państwa Podziemnego, do końca broniących suwerenności Polski, tym bardziej wzbudza sprzeciw w zestawieniu z powściągliwością Autora w stosunku do „Olgerda” i przemilczaniem jego ciemnych kart wojenno-powojennego życiorysu, które należy nazwać po imieniu – zdradą.

⁶ O uniknięciu aresztowania wraz z „Twardym” opowiadał mi „Kowal” i jego siostry Kazimiera i Aniela Szatowskie. Przebieg aresztowań „Twardego” i „Leony” jest też opisany w „Biuletynie Informacyjnym” [27. WDP AK], nr 1(45), Warszawa, styczeń-marzec 1995.

Sporo uwagi Autor poświęca zbrodniom ludobójstwa popełnionym na Wołyniu przez nacjonalistów ukraińskich, choć termin „ludobójstwo” pojawia się rzadko. Sprzeciw wzbudza eufemistyczny tytuł rozdziału „Pożar na Wołyniu i obronna reakcja Polaków (samobrona)” (s. 33), który w przeciwieństwie do znajdującego się w rozdziale opisu zaplanowanego, zorganizowanego i bezwzględnie przeprowadzanego przez OUN-UPA wymordowywania ludności polskiej, zupełnie rozmydla istotę ludobójczej depolonizacji Wołynia. Zresztą w tym rozdziale nie pada słowo ‘ludobójstwo’ dla określenia wymordowania 60 tysięcy Polaków wołyńskich tylko dlatego, że byli Polakami.

Zdumiewa, że Autor powtarza przyczyny mordów (ss. 33-34) za ukraińskimi historykami i publicystami, którzy wszelkimi sposobami dążą do ochrony wizerunku OUN-UPA, do pomniejszenia odpowiedzialności i ostatecznie do wytłumaczenia ludobójstwa zewnętrznymi przyczynami, a nie zbrodniczą ideologią tych formacji. Toteż Autor stwierdza (ss. 33-34): „Dwie potężne praprzyczyny: brak jakiegokolwiek samodzielności ludności ukraińskiej i rodzący się faszizm stopniowo musiał prowadzić do zwania” (podkr. W.S.). Przed tym jakby podsumowaniem Autor zwraca jeszcze uwagę (s. 33) na „oficjalną polską politykę w okresie międzywojennym”, a zwłaszcza: „odmówienie ludności ukraińskiej samorządu przyznanego jej przez traktat pokojowy po II wojnie światowej” (oczywisty nie skorygowany błąd drukarski, bo chodzi o I wojnę światową), odmowa utworzenia uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie, „nie udzielenie prawa nabywania państwowej ziemi”, „utrudnianie obsady urzędów publicznych” Ukraińcom, „wyraźna polonizacja tych terenów po śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego”, nasiloną po usunięciu wojewody wołyńskiego Józefowskiego i ponadto „faszyzacja społeczeństw” w wielu krajach Europy stwarzająca odpowiednią atmosferę do „rozkwitnięcia nacjonalizmu ukraińskiego”. Ten zestaw sloganów, który Autor przyjął za swój („w moim mniemaniu” – s. 33) bez głębszej analizy, zawierający zresztą półprawdy i przekłamania, bo np. przeciwdziałanie obejmowaniu stanowisk wynikało z zagrożenia ukraińską dywersją komunistyczną i nacjonalistyczną, ma zastąpić faktyczny powód, tj. plan OUN z lat 30. stworzenia Ukrainy dla

Ukraińców przez usunięcie Polaków i innych „obcych”, które jeśli chodzi o Polaków i Żydów miało być biologicznym unicestwieniem. Zastanawiające, że Autor nie wymienia jako przyczyny ludobójstwa zbrodniczej ideologii OUN, która programowo szerzyła latami nienawiść i bezwzględność, bez czego niemożliwe byłoby poruszenie szerokich mas do tzw. Rewolucji Narodowej, czyli do masowego wyrzynania Polaków od kołyski po sędziwych starców. Do tego jeszcze trzeba dodać, czego Autor jakby w ogóle nie zauważał, że planowane było usunięcie „Lachów” ze wszystkich „etnicznych ziem ukraińskich”, tj. zamieszkałych przez Ukraińców i Polaków wspólnie, gdy dla ostatnich te ziemie też były „etnicznymi”, a więc nie chodziło tylko o pozbycie się państwa polskiego, ale i o wyniszczenie do cna żywiołu polskiego. W tych warunkach cokolwiek by państwo polskie zrealizowało pozytywnego dla samodzielności Ukraińców i spełnienia aspiracji narodowych – i tak nie zjednałoby organizacji nacjonalistycznych dla państwa polskiego i nie zapobiegło totalnemu wyniszczaniu Polaków w latach późniejszych. Trzeba podkreślić, że dążenie do wywalczenia państwowości może być prowadzone różnymi metodami – walką zbrojną formacji zbrojnych z formacjami zbrojnymi, zabiegami dyplomatycznymi, akcjami protestacyjnymi, ale nigdy akcjami ludobójczymi i terrorystycznymi. Jeśli Autor uznaje za przyczynę ludobójstwa brak specjalnego samorządu terytorialnego, uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie i trudności w zatrudnieniu na państwowych posadach, to jest to wręcz niemoralne.

Warto wspomnieć, że zaprezentowane przez Autora przyczyny ludobójstwa były lansowane na 9 seminariach polsko-ukraińskich zorganizowanych z inicjatywy Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – Okręgu Wołyńskiego pn. „Polska-Ukraina. Trudne pytania”, w których Autor był aktywnym uczestnikiem i które spotkały się z krytyką części b. żołnierzy 27. Dywizji. Na ss. 190-198 rozdziału „Spory po latach” Autor usiłuje obronić te seminaria, stwierdzając że zarejestrowane w 9 tomach materiałów poseminaryjnych pod tym samym tytułem co seminaria „fakty i oceny stanowią dobrą podstawę, zarówno do podejmowania aktualnych, także politycznych ocen, jak i bazą do dalszych pogłębionych badań”. Podsumowanie E. H. Bakuniaka jest chybione. Ogromna ilość fałszywych

twierdzeń i ocen, godzących w prawdę historyczną, zawartych w tych poseminaryjnych materiałach, zwłaszcza prezentowanych przez ukraińskich uczestników konferencji, których wielu nikt nie sprostował, czyni je niebezpiecznymi, bowiem tylko wytrawny badacz, znający dogłębnie tematykę, jest w stanie oddzielić to, co wartościowe od tego, co kłamliwe. Tymczasem rozpowszechnione zostały niesprostowane fałsze, które obecnie traktowane są jako wiarygodne informacje, o czym niejednokrotnie przekonałem się w rozmowach z przypadkowymi, nieprzygotowanymi czytelnikami. Ta dezinformacja jest też wykorzystywana przez ukraińskich historyków, którzy podpierają tomami „Trudne pytania” swoje kłamliwe twierdzenia, powołując się na umieszczone w nich owe niesprostowane informacje – jeśli strona polska nie kwestionowała, to znaczy że je przyjęła za prawdziwe. Przykład takiego ukraińskiego kłamstwa, którego zresztą źródłem jest dokument sowiecki (zob. aneks 12, s. 260), Autor omawia na s. 193. Jest to twierdzenie jakoby partyzanci „Łuny” przebierali się za sowieckich partyzantów i na ich konto mordowali masowo mieszkańców wsi ukraińskich. Autor jako członek tego oddziału zaprzecza temu, ale dopiero w omawianym tu opracowaniu „Osnowa ...”, natomiast nie uczynił tego podczas odbytych konferencji „Trudne pytania”. (Szkoda też, że Autor, publikując ów fałszywy dokument sowiecki, nie odesłał w przypisie do swego podważającego komentarza w tekście głównym na s. 193, który nie będzie zauważony przez wszystkich czytelników.) Skutkiem tego niezakwestionowane kłamstwo „poszło w świat” i jest przyjmowane jako prawdziwy fakt. Warto przy tym zauważyć, że uczestniczący w seminariach ukraińscy historycy, wybielający zbrodnicze nacjonalistyczne formacje i usprawiedliwiający je, zdobyli przez to uczestnictwo jakby legitymacje do poważnego traktowania na gruncie polskim. Przykładem tego są opisane przez Autora spotkania ukraińskich historyków z młodzieżą licealną i gimnazjalną w Zamościu i Chełmie w 2000 r., gdzie dokonywali wielkiego męczenia w głowach. Świadkiem obu tych spotkań był Autor i na szczęście przy tej okazji właściwie prostował stanowisko ukraińskie (por. tekst ówczesnego wystąpienia Autora na ss. 193-197). Ale w związku z tym nasuwa się pytanie: ile jeszcze było takich spotkań polskiej młodzieży z ukraiń-

skimi historykami wmawiającymi jej słuszność działań OUN-UPA wobec ludności polskiej, zrzucających odpowiedzialność z tych formacji i nazywających ludobójstwo walkami – na których nie było komu prostować kłamstw i przewracania do góry nogami faktów i pojęć. Warto jeszcze dodać, że polsko-ukraińskie seminaria historyczne nie przyniosły zasadniczej zmiany w świadomości i postawach ukraińskich historyków, na co liczyli organizatorzy, bowiem mnożą się na Ukrainie publikacje, w których udowadnia się, że to Polacy popełnili większe zbrodnie na Ukraińcach niż Ukraińcy na Polakach, że Polacy swoim postępowaniem doprowadzili do desperacji Ukraińców, którzy nie mieli innego wyjścia, jak zmusić swoich „ciemieżców” do opuszczenia ukraińskich ziem, wyrzynając ich.

Koniecznym jest ponadto sprostowanie szeregu błędnych informacji, co poniżej czynię.

- Twierdzenie, że kpt. Kazimierz Rzaniak „Garda” został dowódcą „z konieczności, po aresztowaniu kpt. Leopolda Świkli „Adama”” (s. 7) jest nieprawdziwe. Mianowanie „Gardy” przez dcę Dywizji płk. Bąbińskiego nie miało żadnego związku z aresztowaniem „Adama” (s. 7,68), ponieważ „Garda” był mianowany wcześniej, 28 stycznia 1944 r., a aresztowanie „Adama” nastąpiło 31 marca 1944 r.
- W sierpniu 1944 r. w Pańskiej Dolinie nie organizowano oddziału partyzanckiego (OP) „Luna” (s. 22), lecz oddział partyzancki bez nazwy, związany ściśle z miejscową samoobroną – prawdopodobnie był to oddział samoobrony, podobnie jak to było w Przebrażu czy innych ośrodkach samoobrony, który po wojnie we wspomnieniach „awansował” do oddziału partyzanckiego. Tej informacji Autor zresztą zaprzecza, podając na s.23, że oddział OP „Luna” przybył do Pańskiej Doliny w końcu jesieni 1944 r., zaś na ss.53 i 54 o organizowaniu tego oddziału w Antonówce k. Łucka. Dobrze, że Autor przytacza opis powstania „Łuny” sporządzony przez szefa Inspektoratu AK Łuck kpt. Leopolda Świklę „Adama” (s.57), który – jak Autor zaznacza – różni się od opisu Autora. Dla wyrobionego czytelnika będzie oczywiste, że opis oficera wyższego szczebla, który oddział organizował, jest bardziej miarodajny niż opis szeregowego żołnierza.

- Błędnie wyraził się Autor, stwierdzając, że Komendant Okręgu Wołyń wydał rozkaz podporządkowania Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa dowództwu wojskowemu (s. 36). W rzeczywistości był to rozkaz zespolenia wojska i organów bezpieczeństwa wydany wspólnie przez Wołyńskiego Delegata Rządu RP i Komendanta Okręgu AK Wołyń 19 lipca 1943 r. (podkr. W.S.).
- Spór kompetencyjny pomiędzy Komendantem Okręgu AK Wołyń K. Bąbińskim a Wołyńskim Delegatem Rządu RP K. Banachem nie mógł dotyczyć Przebraża (s. 36) i mobilizacji do Zgrupowania Pułkowego „Osnowa”, ponieważ w tym czasie, gdy odbywała się koncentracja zarządzona przez Bąbińskiego, na Wołyniu nie było już Banacha – opuścił Wołyń w sierpniu 1943 r., a po nim funkcję Delegata pełnił Julian Kozłowski „Cichy”. Konflikty w związku z odchodzeniem na koncentrację oddziałów partyzanckich i samoobron występowaly rzeczywiście, ale nie z powodu kompetencyjnych sporów pomiędzy Komendantem Okręgu Wołyń a Wołyńską Delegaturą Rządu, lecz dlatego, że ludność polska zgromadzona w bazach obronnych obawiała się, że po odejściu oddziałów padnie ofiarą nacjonalistów ukraińskich. Właśnie z tego powodu nie zostały wypuszczone na koncentrację przez ludność kompanie samoobrony z Przebraża, co zresztą Autor stwierdza dalej na ss. 199-200.
- Na s. 42 Autor wymienia wśród działających na północy Wołynia oddziałów partyzanckich oddział „Bogorii”, czyli por. Sylwestra Brokowskiego, który nie dowodził żadnym oddziałem partyzanckim, natomiast w powiecie włodzimierskim dowódcą OP działającym od połowy lipca 1943 r. był ppor. Władysław Cieśliński „Piotruś”. Terenem działania tego oddziału był ponadto nie północny, lecz środkowy Wołyń.
- 3 kompanią szkieletową baonu „Luna” dowodził nie Ksawery Lecewicz „Spokojny” (s. 47), lecz kolejno ppor. Jeremi Witkowski „Sokół II” i ppor. Mieczysław Sieroń „Molty”. „Spokojny”, mianowany ppor. czasu wojny (a nie chorążym – s. 47, którym był w armii carskiej) był adiutantem kpt. Kazimierza Rzaniaka „Gardy”, dowódcy „Osnowy”.

- W tabeli na ss. 49-52 odnośnie wielu żołnierzy znalazło się stwierdzenie, że „został w okrażeniu”, tymczasem większość z nich po różnych perypetiach wydostało się z okrażenia.
- Zygmunt Podlipski „Sanus” (s. 49, poz. 10 tabeli) nie „został w okrażeniu”, lecz przeszedł przez Prypeć.
- Ignacy Jakira „Butrym” (s. 49, poz. 11 tabeli) nie „został w okrażeniu”, bo w tym czasie nie było go już w Dywizji. W marcu 1944 r. zdezerterował z sanitariuszką (późniejszą żoną). Po wojnie złożył w Yad Vashem w Jerozolimie wspomnienia, w których opisał swoje przeżycia w 27. Wołyńskiej Dywizji.
- Władysław Łenyk (a nie Łenek – s. 51, poz. 29 tabeli) nie był oficerem, lecz podoficerem przedwojennej żandarmerii WP i nie „został w okrażeniu”, lecz wydostał się z okrażenia niemieckiego, dotarł do rodziny we Włodzimierzu i w obawie przed aresztowaniem przeniósł się do Hrubieszowa, gdzie wskutek nieostrożności został aresztowany przez Niemców.
- Antoni Buczek „Pobóg” (s.51, poz.34 tabeli) nie „został w okrażeniu”, lecz przedostał się na Lubelszczyznę i po aresztowaniu został rozstrzelany w Rotundzie zamojskiej wraz z Łenykiem.
- Ksawery Lecewicz „Spokojny”, a nie Lacewicz (s.51, poz.39 tabeli) nie był chorążym, a Włodzimierz Sławosław Dębski „Jarema” i Władysław Siemaszko „Wir” (s.51, poz.45 i 47 tabeli) nie byli podchorążymi, lecz wszyscy trzej – podporucznikami czasu wojny. Identycznie błędnie stopnie wojskowe przypisał Autor tym żołnierzom na s.68. Ponadto żaden z nich nie „został w okrażeniu”: Lecewicz „Spokojny” przedostał się do Włodzimierza i natychmiast wyjechał do Lublina; Siemaszko „Wir” dostał się do niewoli niemieckiej i uciekł z obozu w Lublinie, a po przybyciu części Dywizji był łącznikiem między Komendą Okręgu AK Lublin a Dowództwem Dywizji do czasu jej rozbrojenia w Skrobowie.
- Odnośnie Antoniego Waclawskiego „Kamy” (s. 51, poz. 41 tabeli), którego pseudonim brzmi Kama a nie Kam, brakuje informacji, że zginął na Prypeci.
- Stanisław Janaszek „Longin” (s. 52, poz. 44 tabeli) nie był plutonowym podchorążym, lecz szeregowym.

- Dworowski (s. 51, poz. 46 tabeli) to przekręcenie nazwiska Dworakowski.
- Bielin nie był miejscem powstania oddziału partyzanckiego (s. 54), lecz Spaszczyzna – niewielka wieś koło Bielina. Organizatorem oddziału byli: Jan Wyszomirski „Mirek”, Franciszek Zacharczuk „Tur”, Jan Matuszyński „Bystry”, a także Ryszard Kasprowicz „Lwie Serce”. Poza „Turem” żaden z wymienionych organizatorów nie jest w pracy wymieniony. Dowództwo nad oddziałem objął ppor. Władysław Cieśliński „Piotruś Mały”.
- Niezbyt szczęśliwym wyrażeniem określone zostało pojawienie się na Wołyniu tzw. Kompanii Warszawskiej, która „nie przeniknęła” z Lubelszczyzny jako jedna z grup konspiracyjnych (s. 63), lecz jako jednostka wojskowa była odkomenderowana z Warszawy przez Komendę Główną AK do dyspozycji dowódcy Dywizji.
- Nie wiadomo skąd czerpie Autor informację o rzekomym zawarciu pomiędzy Dowództwem Dywizji a jednostkami sowieckimi „odpowiedniej umowy o współdziałaniu i wzajemnym wspieraniu się w walce z Niemcami” (s. 63), a zwłaszcza dostarczeniu broni ciężkiej przez Sowietów. Były jedynie rozmowy, podczas których Sowietci żądali podporządkowania się im na Wołyniu i za Bugiem, oferując w zamian wzmocnienie uzbrojenia. Oczywiście dowódca Dywizji płk „Oliwa” nie przystał na te warunki.
- W Wigilię 1943 r. nie było napadu UPA na Kupiczów i nie pozostał po rzekomym jego odparciu „czołg” upowski (s. 55), czyli traktor z zamontowanymi częściami czołgu – to wydarzenie miało miejsce 22 listopada 1943 r., gdy OP „Luna” w Kupiczowie jeszcze nie było, a więc oddział ten nie mógł bronić Kupiczowa. W Wigilię 1943 r. oddziały UPA podeszły pod stanowiska polskie w Kupiczowie w ramach manewru taktycznego, nie atakując i przesunęły się dalej, by świtem 25 grudnia 1944 r. napaść na kolonie wokół Zasmyk – Janówkę, Radomle, Stanisławówkę i Batyń – po drodze do niedoszłego ataku na Zasmyki wskutek sprawnej reakcji samoobrony z Zasmyk oraz pomocy z Kupiczowa, która rozpraszała napastników w Janówce.

- Myli się Autor, sądząc, że oddział „Łuna” powstał w maju 1943r. (s. 53) i był najstarszym, najdłużej działającym oddziałem w „Osnowie” (s. 77). Do rzezi lipcowych na Wołyniu nie było ani jednego oddziału partyzanckiego, były jedynie oddziały samoobrony, których członkowie później wchodzili w skład oddziałów partyzanckich. W tym samym czasie, co „Łuna” został powołany OP pod dowództwem Piotrusia Małego” działający w powiecie włodzimierskim.
- Operacja przeciw oddziałom UPA w celu zabezpieczenia przeprawy na Turii (s.65) nie miała miejsca w Jagodzinie (w powiecie lubomelskim), lecz w Jagodnie (w powiecie włodzimierskim).
- Władysław Siemaszko „Wir” (Autor niniejszych *Uwag...*) nie był dowódcą pocztu (s. 68), lecz pełnił funkcję oficera do zadań specjalnych w sztabie Zgrupowania.
- Kpt. Leopold Świkła „Adam”, szef Inspektoratu AK Łuck nie podążał do Włodzimierza wraz z innymi osobami, z którymi był aresztowany (s. 68), lecz do Kupiczowa, bowiem aresztowanie miało miejsce w okolicy Hołób, a to całkiem nie po drodze z Łucka do Włodzimierza.
- Obóz przejściowy w Lublinie, do którego trafiali więźniowie do niewoli żołnierze Dywizji mieścił się nie przy ul. Piekarskiej (s. 155), lecz przy ul. Krochmalnej obok głównego dworca kolejowego – sam w tym obozie znalazłem się.
- Pojedynczy żołnierze „Osnowy”, którzy podczas okrążenia przez Niemców w lasach mosurskich pogubili się, nie mogli powracać do swych wsi w okolicy Włodzimierza Woł., jak twierdzi Autor (s. 161,162), ponieważ w tym rejonie poza Bielinem, Spaszczyzną i Wodzinowem oraz przyległych do nich kolonii nie było już Polaków, więc powrót do innych wsi groził albo zamordowaniem przez Ukraińców, albo aresztowaniem przez Niemców na skutek denuncjacji ukraińskich. Jedyne miejsce, do którego wówczas ciągnęli rozbitkowie to był Włodzimierz Woł., gdzie ukrywali się w polskich rodzinach i – o ile nie zostali aresztowani przez Niemców lub później przez Sowieców – różnymi sposobami przedostawali się za Bug.

- Zenon Anusewicz nie tylko nie był członkiem sztabu Zgrupowania „Osnowa” (s. 327), ale w ogóle nie miał nic wspólnego z 27. WDP AK, ponieważ jako porucznik służby stałej w 23 pp we Włodzimierzu Woł. podczas walk we wrześniu 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej i do końca wojny przebywał w oflagu.
- Por. Jan Kubalski „Grot” nie był współorganizatorem 23 pp. Zgrupowania „Osnowa” (s.328, podpis pod fotografią), lecz komendantem garnizonu „Ławy” we Włodzimierzu Woł. w latach 1942-1944.
- Poważne błędy, świadczące o zupełnym poplątaniu faktów, znajdują się na s. 331, gdzie Autor podaje listę „Oficerów i konspiratorów aresztowanych przez NKWD w drodze do Zgrupowania „Osnowa”.Lista zawiera 28 nazwisk osób, z których większość była aresztowana w różnych, innych niż zapowiada tytuł listy, okolicznościach i w różnym czasie. Bez wątpienia, co zresztą ustalił już 20 lat temu Józef Turowski, w drodze na koncentrację oddziałów AK zostało aresztowanych 7 oficerów Inspektoratu AK Łuck, którzy wyruszyli z Łucka 22 marca 1944r. i zatrzymawszy się w miejscowości Musor (lub Mosor) koło Hołób w pow. kowelskim, zostali zadenuncjonowani przez Ukraińca do znajdujących się w pobliżu oddziałów sowieckich i aresztowani tam 29 marca 1944 r. Byli to: komendant Inspektoratu „Osnowa” Leopold Świkła „Adam”, Jerzy Aleksandrowicz „Czyżyk”, Tadeusz Baczyński, Wiktor Popławski „Nasturcja”, „Garbus”, Józef Wójcik „Zgrzyt”, Stanisława Kulczycka „Grażyna”, Maria Gładkowska „Zoja”.W pierwszych dniach kwietnia 1944 r. zostało aresztowanych w Łucku następnych 24 członków konspiracji, którzy zostali zatrzymani w domach, a nie w podróży. Jako kuriozalne należy umieszczenie na liście konspiratorów aresztowanych w drodze do „Osnowy” księdza Władysława Bukowińskiego,który został aresztowany dopiero w styczniu 1945r. i nigdy nie podążył do „Osnowy” (szkoda, że Autor nie zapoznał się z powszechnie znanymi w środowisku Wołyniaków opublikowanymi wspomnieniami księdza Bukowińskiego lub przynajmniej nie skonsultował się z drem Leonem Popkiem, specjalistą w zakresie historii diecezji łuckiej), a także Władysławy Mi-

roty, Zofii Sadowskiej, Jadwigi Teleżyńskiej, które zostały aresztowane – jak wynika z dat podanych przez Autora – już w czasie, gdy Zgrupowanie „Osnowa” przestała istnieć. Niestety Autor nie podaje źródeł, na podstawie których ułożył tę listę, co dodatkowo poddaje w wątpliwość jej wiarygodność.

Opracowanie „*Osnowa*” Zgrupowanie Pułkowe 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK jest pierwszą próbą monografii tego Zgrupowania. Dotychczas ukazywały się prace poświęcone całej konspiracji ZWZ-AK i 27. WDP AK, w których uwzględniana była „Osnowa” (Michał Fijałka, *27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK*, Warszawa 1986; Józef Turowski *Pożoga*, Warszawa 1990; Wincenty Romanowski, *ZWZ-AK na Wołyniu*, Lublin 1993). Monografia „Osnowy” winna zatem ujmować historię tego Zgrupowania szerzej i dokładniej niż przedstawiły to wcześniejsze opracowania. Mimo usiłowania dotarcia do szerokiego zestawu źródeł – publikacji i archiwaliów, praca E.H. Bakuniaka zawiera niestety wiele luk, błędnych informacji i dysproporcje, np. w omówieniu działalności batalionów wchodzących w skład Zgrupowania, z których jeden, o kryptonimie „Luna”, został w stosunku do pozostałych nadmiernie wyeksponowany. Wielu błędów i braków Autor mógłby się ustrzec, gdyby konsultował się w trakcie przygotowywania książki z żyjącymi jeszcze uczestnikami wydarzeń – żołnierzami „Osnowy”.

Władysław Siemaszko „Wir” (oficer ds. specjalnych w sztabie Zgrupowania Pułkowego „Osnowa” 27. WDP AK)

* * *

Z UROCZYSTOŚCI DEKORACJI ODZNACZENIAMI PAŃSTWOWYMI ŻOŁNIERZY 27 WOŁYŃSKIEJ DYWI- ZJI PIECHOTY ARMII KRAJOWEJ W BELWEDERZE

W grudniu 2003 r. Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego min. Marek Siwiec wręczył w imieniu Prezydenta RP order państwowy osobom szczególnie wyróżnionym w obronie ludności polskiej przed okrutnymi mordami przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu w latach 1943/44.

Uhonorowani zostali następujący żołnierze Okręgu „Konopie” (Wołyń) Armii Krajowej:

1. **Krzyżem Komandorskim orderu Odrodzenia Polski** – dr inż. Jan Lipiński – żołnierz Obwodu „Łąka”, pseudonim „Lech”, z Krakowa.
2. **Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski** – Władysław Góra – żołnierz I bat. 24 pp 27 WDP AK, pseudonim „Okta-wian”, z Raszyna.
3. **Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski** – Jan Tań-ski – żołnierz Obwodu „Łąka” pseudonim „Bocian”, z Malborka, pośmiertnie Adela Struś – żołnierz I bat. 43 pp 27 WDP AK, pseudonim „Lina”, z Koszalina. Order odebrała p. Anna Struś.

W uroczystości dekoracji uczestniczyli również: członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego Jan Turski – kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, Maciej Górski – podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, Leon Kieres – prezes Instytutu Pamięci Narodowej, Andrzej Przewoźnik – sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

W uroczystości brała również udział asysta honorowa ze sztandarem Kompanii Reprezentacyjnej WP.

W imieniu odznaczonych podziękowanie złożył Kol. Jan Lipiński. Przedstawił zagrożenie ludności polskiej – szczególnie na wsiach – ze strony grasujących hord różnej maści nacjonalistów ukraińskich oraz rolę placówek samoobrony, niosących pomoc mordowanym Polakom i możliwość zorganizowania tej ludności warunków bytowania w tragicznym okresie. Szczególnie serdecznie podziękował min. Markowi Siwcowi oraz sekretarzowi ROPWiM p. Andrzejowi Przewoźnikowi za Ich zaangażowanie w organizację centralnych uroczystości w Porycku (Wołyń) w 60 rocznice dokonanego ludobójstwa.

Udekorowani kombatanci podzieli się z gospodarzami uroczystości przeżyciami z tantych tragicznych lat.

Po zakończeniu uroczystości udostępniono odznaczonym i ich rodzinom zwiedzenie Pałacu Belwederskiego.

HJ

* * *

BRUNON – Roman Mańko ps. „BEN”

Żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, zmarł 8 sierpnia 2004 roku w Bielsku Białej. Tam na cmentarzu został pochowany z udziałem pocztu sztandarowego miejscowego Koła Żołnierzy AK. W pogrzebie uczestniczyła rodzina zmarłego, przyjaciele, koledzy akowcy.

Nad grobem „Bena” trębacz odegrał „Ciszę Nocną”.

„Ben” w wieku 16 lat został żołnierzem 27 WDP AK w Bielinie, na Wołyniu. Uczestniczył w walkach toczonych przez Dywizję na 600 kilometrowej bojowej drodze, przez okres 5 długich miesięcy. Uczestniczył w działaniach „Burzy”. Odznaczony Krzyżem Armii Krajowej i Odznaką Weterana Wojny.

W czasach pokoju współdziałał ze Środowiskiem Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji AK oraz Okręgiem Wołyn – Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Przez wiele lat własnym sumptem wydawał i rozpowszechniał tysiące ulotek szerzących wiedzę o historii 27 Wołyńskiej Dywizji. Był popularyzatorem, orędownikiem historii macierzystej dywizji. Historii wydarzeń dziejowych oręza polskiego by był on w świadomości Polaków, głównie wśród młodego pokolenia. Spotykał się z młodzieżą szkolną i harcerską. Wygłaszał odczyty. Przybliżał też wiedzę o tragicznych wydarzeniach ludobójstwa ludności polskiej, przez ukraińskich nacjonalistów, w latach II wojny, na Wołyniu. Do końca był żołnierzem i patriotą. Cześć Jego Pamięci!

*Okręg Wołyński Światowego Związku
Żołnierzy Armii Krajowej*

* * *

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Podajemy nazwiska żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, samoobrony, konspiracji na Wołyniu, zmarłych w ostatnim okresie:

1. Tokarski Zygmunt „Segał” I/43 pp, w Sulechowie
2. Gąsiorowska Maria „Ruta” konsp. Włodzimierz, w Wałczu
3. Kiełb Stanisław „Nietoperz” sabr. Wełnianka, w Malborku
4. Matyszczuk Józef „Gałąź” I/43 pp, w Skordiiowie
5. Nowacka Helena „Malinka” szpit. Bielin, w Warszawie
6. Kubański Franciszek „Sokół” I/23 pp, w Wojnowicach
7. Słotwiński Kazimierz „Dąb” „Osnowa plut. łącz., w Olsztynie
8. Tuliński Tomasz „Francuz” komp. saper. Warszawska, w Warszawie
9. Ostrowski Józef „Blask” I/23 pp, w Mazowie
10. Wdowiak Piotr I/23 pp, w Łotyszynach
11. Skwarnik Henryk zm. w 1994 r. „Wilk” III/50 pp, w Wrocławiu
12. Macegomiuk Jan „Sęk” I/43 pp, w Chełmie
13. Szlechta Mieczysław „Burzyński” II/50 pp, w Zboreżu
14. Mirota Władysława – Wacława „Dyzio” k. Łuck, w Kozienicach
15. Sienicki Zbigniew „Kafka” I/23 pp, w Wesołej k/Warszawy

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

* * *

INFORMACJA:

posiadamy jeszcze kilka odznak nagrobkowych (wymiar 15x15cm), z brązu (ciężar ok. 1 kg) do nabycia. Cena 60 zł, plus 6 zł koszt przesyłki. Telefonicznie można zamawiać u sekretarza Zarządu Kol. Stanisława Maślanki, telefon: 022 811-92-50 w Warszawie.

SPROSTOWANIA

1. W poprzednim BI nr 3(83) Lipiec-Wrzesień 2004 r. w rubryce „Z żałobnej karty” na str. 104, poz. 1 mylnie podano nazwisko zmarłego, jest – Janowski Teofil „Longinus”, powinno być: JAWORSKI Teofil „Longinus”.
2. Na stronie 14 tegoż BI nr 3(83) Lipiec-Wrzesień 2004, powinno być ... w skład „Gromady” weszły baony: „Sokoła”, „Jastrzębia”, „Trzaska”, „Siwego”, „Korda” oraz szwadron kawalerii „Hinczy” (w BI niewymieniono baonu „Korda”). Tamże - dowódcą „Gromady” był mjr Jan Szatowski „Kowal”, a nie - mjr Jan Szatkowski jak wydrukowano w biuletynie.

Za niedopatrzenie i pomyłki Redakcja BI przeprasza

* * *

KSIAŻKI WYDAWNICTWA OPRACOWANIA

Wydawnictwa książkowe ŚZZ AK Okręgu Wołyń, znajdują się na księgarskich półkach i są do nabycia po niskich przystępnych cenach:

 Książka „Osnowa” Zgrupowanie Pułkowe 27 WDP AK – od Lasów Wołyńskich do Puszczy Solskiej. Wspomnienia uczestnika, żołnierza 27 Wołyńskiej Dywizji i 9 Pułku Piechoty Legionów AK. Autor Edmund – Henryk Bakuniak ps „Jeż”. Wydawnictwo ŚZZAK Okręg Wołyń, druk. ABEDIK Bydgoszcz 2004 r., str. 340, cena 25 zł.

 Książka **„Przed Akcją Wisła był Wołyń”** aut. prof. dr hab. Władysław Filar wydanie drugie poprawione i uzupełnione. Cena 15 zł.

 **Eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu w drugiej wojnie światowej** aut. prof. Władysława Filara wyd. ŚZZAK Okręg Wołyń. Cena 10 zł.

 **„Burza na Wołyniu”,** str. 286. Wyd. Rytm, Warszawa, prof. Władysława Filara. Książka stanowi studium historyczno – wojskowe obejmujące genzę i działania 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK (1943-1944). Cena 8 zł.

 **Wojskowe i historyczne tradycje 27 WDP AK** - Czesława Piotrowskiego, str. 254. Opracowanie przedstawia historię 27 Dywizji Piechoty od jej powstania w 1920 r. do jej odtworzenia w akcji „Burza” pod nazwą 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej wraz z wchodzącymi w skład dywizji pułkami. Cena 4 zł.

 **„Przez Wołyń, Polesie na Podlasie”,** str. 246, książka związana z historią Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Są to wspomnienia z lat 1943-1944 młodego, wówczas chłopca z Huty Stepańskiej, na Wołyniu Czesława Piotrowskiego. Cena 20 zł.

 Książka **„Wołyński Życiorys”** aut. Bogusław Soboń, wyd. ŚZZAK Okręg Wołyń, wydanie drugie uzupełnione i poszerzone, str. 167, cena 7 zł.

 **„Pożoga”.** Walki 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK aut. Józefa Turowskiego, str. 596. Książka oparta o dokumenty, relacje i wspomnienia. Naukowo opracowana historia 27 WDP AK wraz z przypisami, zdjęciami i mapami w liczbie 75. Cena 17 zł.

 **Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego według Dmytra Doncowa.** Praca doktorska Wiktora Poliszczuka omawiająca i obnażająca ideologię nacjonalizmu ukraińskiego pogłębiająca o nim wiedzę. Cena 8 zł.

 **„Z Kresów Wschodnich na Zachód”** aut. Monika Śładewska, wyd. Atla 2, Wrocław, stron 203, cena 17 zł.

 Wymienione wydawnictwa książkowe ŚZŻ AK Okręgu Wołyń, znajdują się na księgarskich półkach i są do nabycia po niskich przystępnych cenach. Także można je nabyć w siedzibie Wołyńskiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, przy ul. 11-Listopada 17/19, 03-446 Warszawa, w godz. 10-12 w każdą środę. Wysyłane mogą być drogą pocztową, po uprzednim wpłaceniu równowartości wydawnictwa plus koszt przesyłki na konto bankowe PKO SA 15 1020 1097 0000 7202 0001 8150. Na odwrocie przekazu należy wymienić tytuł książki i ilość zamawianych egzemplarzy. Również wysyłane mogą być za zaliczeniem pocztowym.

* * *

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skrótów nadsyłanych materiałów. Tekstów nie zamawianych nie zwracamy.

**CZYTELNIKU!
SYMPATYKU! PRZYJACIELU!
„BIULETYNU INFORMACYJNEGO”
27 WOŁYŃSKIEJ DYWIZJI
I OKRĘGU WOŁYŃ ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU
ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
CZY NIE ZAPOMNIAŁEŚ ZAPRENUMEROWAĆ
BIULETYNU
NA 2005 ROK?
TO NAPRAWDĘ NIEWIELE 30 zł ROCZNIE
Z PRZESYŁKĄ DO DOMU
PRENUMERUJCIE, CZYTAJCIE, PISZCIE**

SPIS TREŚCI

1. "O Burzy" Wołyńskiej – Tadeusz Wolak	4
2. Cichociemni o „Burzy” na Wołyniu – "Ostoja"	7
3. W 60 rocznicę „Burzy” wystawa w Krakowie – Jan Lipiński	18
4. Z Kart Historii Wołynia – Zenon Wira	20
5. Rok 1939 wojna na Wołyniu – Józef Wira z USA	26
6. Wspomnienia o Wołyniu byłem świadkiem wielkiej zbrodni – Józef Garbacz	38
7. Pamięć i zapomnienie – Maja Narbut	48
8. Pod groźbą śmierci czy dobrowolnie – Danuta Frey	56
9. Pielgrzymka na Wołyń – Antoni Mariański	58
10. Komu przeszkadza plebania w Ostrogu? – ks. Witold-Józef Kowalów	62
11. Z rodu Anhellich o Wołyńskim poecie - Zygmuncie Rumlu – Feliks Budzisz	66
12. Uwagi o książce „Osnowa” – Władysław Siemaszko	75
13. Z uroczystości dekoracji odznaczeniami państwowymi żołnierzy 27 WDP AK w Belwederze H. J.	93
14. Brunon – Roman Mańko ps. „Ben”	95
15. Z żałobnej karty	96
16. Informacja	97
17. Sprostowania	97
18. Książki – wydawnictwa – opracowania	97

* * *